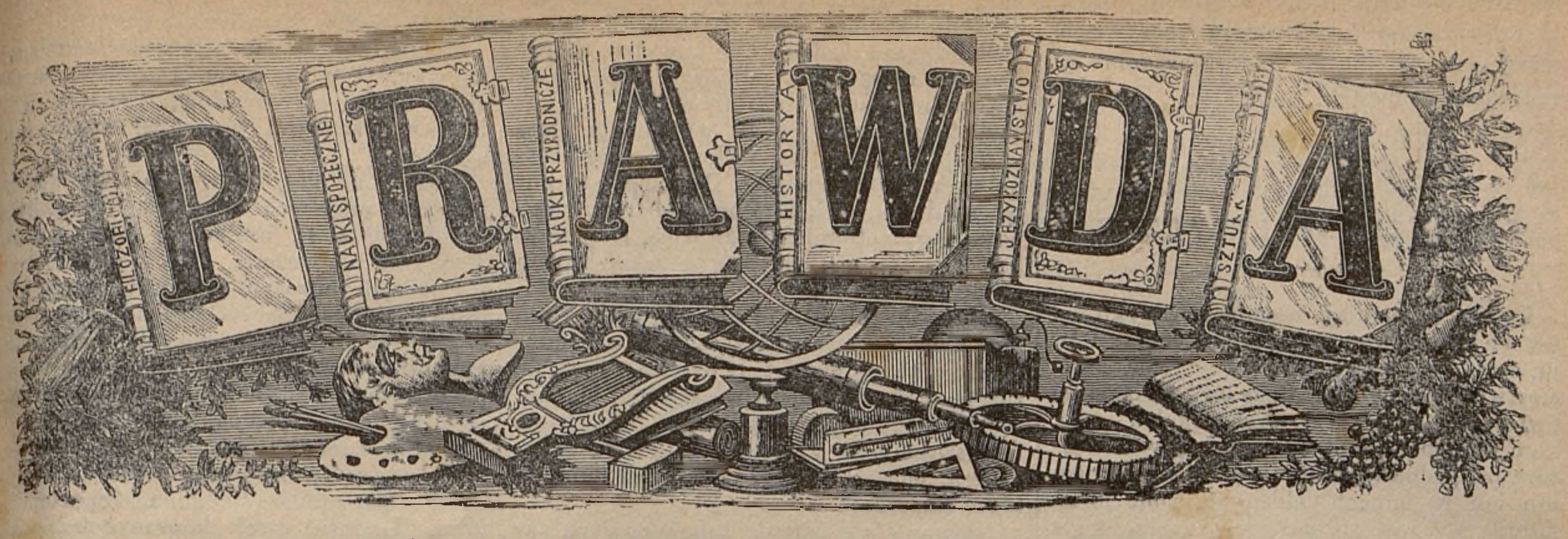
№ 42. Warszawa, dnia 19 (7) Października 1889 r. Rok IX.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ROZRYWKA CZY POLITYKA.

Chociaż zjazd monarchów w Berlinie wszędzie uznany został jako dowód pokojowych usposobień chwili bieżącej, kwestya jednak trwałości obecnych stosunków politycznych nietylko nie ustąpiła z dzienników, ale nawet podniosła temperaturę rozpraw. Jest to zupełnie naturalne. Bo jakim sposobem uwierzyć można w taki pokój, dla którego niemcy powiększają znowu swój budżet wojskowy o 200 milionów marek? Nie o to wszakże gałązki oliwne nam chodzi, ale o inny objaw, który z dziwną wyrazistością odbija się w polityce niemieckiej: mówimy o ciągłych podróżach Wilhelma II. Od wstąpienia na tron monarcha ten ciągle jeździ i więcej czasu przepędza w drodze, niż w stolicy. Odwiedził już większą część dworów europejskich i z gorączkowym pośpiechem wybiera się do pozostałych: był już w Petersburgu, Wiedniu, Rzymie, Sztokolmie, Kopenhadze, Londynie, u królów i książąt niemieckich, teraz śpieszy do Aten i ma nawet złożyć wizytę sułtanowi. Możliwe są tu tylko dwa przypuszczenia: albo Wilhelm II dogadza swej osobistej chęci podróżowania, albo ponosi trudy dla celów politycznych. W pierwszym wypadku należałoby domniemywać się jakiejś szczególnej, z ustroju organicznego wynikającej potrzeby, a której w cesarzu niemieckim dotąd nie stwierdzono; w drugim musielibyśmy widzieć energiczne rozwijanie polityki Bismarka. Jak wiadomo, od wojny francusko-pruskiej cały rozum, dowcip i zabiegi kanclerza wysilają się tylko na opasywanie Niemiec pierścieniami przymierzy. Z jednej strony silna armia niby miecz, z drugiej szereg sojuszników niby tarcza — oto dwa główne przedmioty jego starań. Wiele czasu upłynęło, zanim uwierzono, że olbrzym, który w ciągu kilku lat rozgromił trzy państwa, nie myśli o dalszych napaściach i podbojach i pragnie tylko ubezpieczyć swe łupy. Dziś ten fakt staje się coraz widoczniejszym, tak dalece, że chyba nikt w Europie nie mówi szczerzej, wypierając się dążeń zaczepnych, niż kierownik polityki niemieckiej. Może ta szczerość byłaby bardziej wątpliwą i podejrzywaną, gdyby jej nie poręczała starość ks. Bismarka i pewne zniedołężnienie, które śmiałym pomysłom odmawia zdolności a ryzykownym przedsięwzięciom odwagi. Jest on rzeczywiście chorym, a chociaż wiadomości gazet o jego szybkiem starzeniu się gniewają go, czuje on ich prawdę. Za zbyt zaś ma wielkie wyobrażenie o swoim geniuszu i za zbyt nie dowierza zuchwałym rzutom swego następcy — choćby tym następcą został własny syn jego — ażeby nie miał uznać za pierwsze przykazanie katechizmu polityki Niemiec — wiązanie sojuszów. Wilhelm II, pomimo swej samodzielności, świadomie i bezwiednie ulega wpływowi doświadczonego doradcy i idzie po wytkniętej przez niego drodze — tj. jeździ od dworu do dworu i zyskuje sobie przyjaciół. Zarówno do swej matki, jak babki nie żywił on nigdy miłości; pojechał jednak do królowej Wiktoryi, starał się jej względy pozyskać a następnie jej rząd przyjaźnie ku sobie nakłonić. Niedawno dokonany przez niego w Kiel przegląd floty angielskiej i okazywane jej dowody sympatyi wskazują, że nie jest to wylew uczuć bezinteresownych, ale chęć możliwie najbliższego przysunięcia ku sobie Anglii. Mówimy: możliwie najbliższego, gdyż John Bull i w tym razie, jak w każdym innym, postępuje ostrożnie i przezornie, formalnemi umowami się nie wiąże, ażeby — jak stale zapewnia — mieć „wolną rękę" do wyciągania kasztanów w cudzym ogniu upieczonych; można go wszakże skłonić do postawy biernej, która także w pewnych wypadkach ma wielką wartość. Niech tylko w wojnie Niemiec z Francyą jedni im pomagają a drudzy, jak w r. 1870, obojętnie na przebieg walki patrzą — może Wilhelm II bez trwogi wystąpić do boju.

A ostatecznie, chociaż nici polityki niemieckiej wplatają się w osnowę najrozmaitszych spraw europejskich, Berlin tylko zezem spogląda na inne punkty, a główne spojrzenie ma zwrócone na Paryż, bo z dwu ostatnich dziesiątków lat wyciągnął ten niewątpliwy wniosek, że traktat frankfurcki był końcem tylko pierwszego aktu krwawej tragedyi, która prędzej czy później się odnowi. Dziś Europa ma dwie osie wypadków: jedna tkwi na półwyspie Bałkańskim, druga — w Alzacyi i Lotaryngii; pierwsza nie obchodzi bezpośrednio Niemiec, druga pochłania całą ich uwagę i nadaje kierunek ich działaniom.

Ks. Bismark, zbliżając się do krawędzi swego życia, spisał niejako swój testament polityczny, zalecający następcom i spadkobiercom dwa obowiązki: potęgowanie siły wojskowej państwa i pomnażanie sojuszów. To ostatnie zadanie spełnia Wilhelm II ze szczególną gorliwością i ono zapewne stanowi główną sprężynę ciągłych jego podróży.

Tak się przedstawia logicznie rozwinięta hypoteza, nadająca jego odwiedzinom na dworach cele polityczne. Jak rzekliśmy, nastręcza się również inne przypuszczenie, ale dla niego brak nam dostatecznej podstawy. Zresztą możliwem jest, że łączą się tu oba szeregi pobudek: osobiste zamiłowanie do podróży i rachuby praktyczne. Czy rezultat tych zabiegów zaprzeczy zdaniu Bismarka, który powiedział kiedyś w sejmie: „nas nikt nie kocha, tylko każdy się boi"— tę zagadkę rozstrzygnie kiedyś przyszłość a rozstrzygnie z pewnością. W naturze nic nie ginie a tem bardziej nie zginą miliardy

kosztów zbrojnego pokoju i miliony wojsk, które go dziś strzegą i kiedyś rzeczywiście ubezpieczą po burzy i wyczerpaniu sił w trwodze i ofiarach.

FANTAZYE POLITYCZNE.

Pokój wojownicy niemieccy zwykli od lat wielu nazywać tylko zawieszeniem broni, a raczej przerwą między jednem zwycięztwem a drugiem. Czas ów spędzają na ćwiczeniu coraz to nowych pokoleń ludzi, koni i gołębi w deptaku wojskowych obrotów, na podpatrywaniu sąsiadów i na łżeniu ich w łamach oddanych sobie pism. Łżenie to jest rozmaitego rodzaju, gdyż stopień natężenia zależy od potrzeb danej chwili.

Statyści niemieccy nadto wynaleźli od lat kilku inną rozrywkę, której rozkwit obecnie powszechną zwrócił uwagę. Oto w dziennikach swych stale podnoszą myśl, „będącą dobrodziejstwem dla całej Europy,“ myśl rozbioru Francyi. Ich zdaniem, jest to państwo, złożone z niejednolitych i do dnia dzisiejszego zupełnie niestopionych z sobą pierwiastków etnograficznych. Podzielić przeto ów kraj na części składowe i oddać każdemu jego własność — oto szczytne zadanie, oczekujące Niemcy w przyszłości, być może, niedalekiej. Nim ów plan po należytem streszczeniu przedstawimy czytelnikom, musimy zauważyć, że myśl podziału Francyi nie jest nowym wynalazkiem i wyłączną własnością niemieckiej mądrości politycznej. Pomijamy bowiem wieki średnie, kiedy Francya rzeczywiście składała się z kilku państw oddzielnych, niemal zawsze sobie wrogich; pomijamy wiek XVII i XVIII, w których kuto ów oręż przeciw niej w gabinetach dyplomatycznych Wiednia, Londynu i Madrytu, a przejdziemy wprost do dziejów bieżącego stulecia. Pierwszy rozbiór Francyi w tem stuleciu dokonano 16 maja 1814 r., ścieśniając ją do granic, posiadanych przed Rewolucyą. Później myśl podziału kiełkowała ustawicznie w Berlinie i Wiedniu, ponieważ oba te państwa obawiały się „zarazy liberalnej,“ przedostającej się ustawicznie z Paryża do serc ich obywateli. Wspomina o tem Ludwik Börne w „Listach paryskich (30 listopada 1831 r.): „Codzień mnożą się moje wiadomości z Niemiec, że tam powzięto plan podzielenia Francyi, jak pasztetu, a nawet król Filip ma dostać z niej kawałek. Starzy Burboni zatrzymują półmisek z obłoczką. Pyszną naiwność widzę nie w tem, że uważają to za możliwe do wykonania, lecz w tem, że wierzą, iż wykonanie tego cośkolwiek by im pomogło. Dzieciom się mówi, że dzieci, a książętom, że rewolucye pochodzą ze studni. Sądzę więc, że potrzeba tylko studnię zasypać, a wszystko się skończy.“

Wypadki z 1870—71 r., oraz ich wynik, zbyt dobrze wszyscy jeszcze mają w pamięci; nie potrzebujemy tedy szerzej o nich się rozpisywać. Z obecnie ogłaszanych planów rozbioru Francyi przytaczamy najnowszy, umieszczony w *Deutschland* Fritza Mauthnera, ponieważ autor jego żywi najdalej idące roszczenia.

Niemcy dla siebie nie żądają nowych nabytków. Ich granicą zachodnią pozostaną Wogezy, gdyż raz na zawsze pragną pozbyć się niemiłego sąsiada. Pożądanym natomiast dla nich nabytkiem będą kolonie francuskie, owe kraje bogate, szczęśliwe i zaludnione; część ich przecież wydzielą zwycięzcy kilku innym państwom europejskim dla nieobudzania ich zawiści. A mianowicie posiadłości na zachodniem wybrzeżu Afryki, Senegambia i Gabun, liczące przeszło milion klm. kwadratowych i więcej niż dwa miliony mieszkańców, zabierze Portugalia. Hiszpanię spotka inne wynagrodzenie w kształcie części terytoryum europejskiego zwyciężonej krainy. Włochy otrzymają zwierzchnictwo nad Tunisem, którego pożądają tak gwałtownie; pozostałe posiadłości zabierze cesarstwo niemieckie. Na jego szalę spadnie Algier, gdzie spotka się oko w oko z kolonistami alzackimi, którzy opuścili kraj rodzinny po zaborze. Anam, Tongking, Kambodżya i Kochinchina przypadną cesarstwu chińskiemu; posiadłości francuskie w Indyach Zachodnich odzyskają niepodległość. Wyspa Korsyka powróci do swej macierzy czyli do Włoch. Te ostatnie powinny również dostać 18 departamentów francuskich południowo-wschodnich, ponieważ mieszkają tam włosi sfrancuziali. Hiszpania dostanie o wiele więcej, ponieważ sfrancuziałych jej synów jeszcze więcej za Pirenejami, aniżeli włochów. Jej łup będzie się składał z 23 departamentów z 8 milionami mieszkańców.

Nawet o Szwajcaryi nie zapomniał autor projektu, obdarza ją bowiem czterema departamentami — Niévre, Doubs, Côte d'or i Haute-Saone, mającymi 480 mil kwadratowych i 1,500,000 mieszkańców.

Belgia, jakkolwiek niechętnie, także weźmie udział w rozbiorze. Dla niej przeznaczono 16 departamentów, liczących 1762 mil kwadratowych obszaru i 8,000,000 mieszkańców.

Pozostanie tedy do rozdania 28 departamentów, mających niecałe 3,000 mil kwadratowych z 14 milionami mieszkańców. Tych nikt nie weźmie, lecz rząd niemiecki nie pozwoli im zostać razem. Utworzy królestwo wandejskie z Orleanami na czele; w moc tych ostatnich odda dziesięć departamentów, a hr. Paryża lub jego syn będzie panował nad 4 milionami poddanych. Północo-zachodni szmat Francyi utworzy rzeczpospolitą zachowawczą ze stolicą Alençon.

Paryż, „czerwony Paryż“—jak nazywa go autor — pozostanie z siedmioma departamentami. Ludność owej „komuny“ przerośnie w każdym razie liczbę 5,000,000. Złośliwy niemiec pozostawił Paryżowi Nową-Kaledonię, kolonię dla przestępców w celu, aby jedno stronnictwo doszedłszy do władzy, mogło wysyłać tam przeciwników i odwrotnie.

Projekt ów jest płodem szowinizmu germańskiego i fantazyi podsycanej piwem; chwilami — jest to aż nadto wyraźnem — autor pisze zupełnie poważnie, chwilami natomiast żartobliwie. Dla ludzi atoli, niemających szczęścia być niemcami, owe fantazye polityczne są dowodem, jak daleko sięgają uroszczenia niemieckie. Powinny być one przestrogą dla sąsiadów, aby niemców wciąż pilnować, wszelkie ich podkopy tajemne niszczyć, żadnych ustępstw im nie robić, gdyż w przeciwnym razie, prędzej czy później, w jedną lub drugą stronę, naród ten, krwiożerczy i chciwy, rozszerzy swe zagony ku szkodzie państw ościennych.

N.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Najjaśniejszy Pan raczył d. 11 b. m. z Danii przyjechać do Kielu a następnie do Berlina dla odwiedzenia cesarza niemieckiego. Odwiedziny te trwały dni kilka i przeszły w szeregu uroczystości dworskich. Wymienione między monarchami toasty zapewniały o tradycyjnej i ścisłej przyjaźni

---

CMENTARZ.

Woda pluszcze u moich okien, deszcz dzwoni w szybę, powietrzne płaczki jękliwie zawodzą na słupie światła, który chmurą owinięty w kałuży zatonął.

Myśl mi uciekła do ustronnej chaty, za wielkiem cmentarzyskiem. Dokoła snują się i pełzają szare mgły, opary i dymy ciężkie, duszące. Któżby prócz smutku przyszedł ją odwiedzić? — Kołacze.

— Co powiesz, gościu, jakie nowiny z cmentarzyska przynosisz? Pewnie się gdzie krzyż jaki rozpadł spróchniały i nastraszył kruka, który lubił na nim przesiadywać. Może przybyły nowe mogiłki i nakryto niemi trupy, które nigdy nie żyły. Rozlegają się szlochy, narzekania, skargi. Stare rzeczy, stare... Ja na łzy je nie wymieniam. Nieżywi umarłych udają, a nieboszczyki ich opłakują, kruki nie znajdują ciał, tylko mdłą zgniliznę, która im sprawia obrzydzenie, wiatr zmiata stosy próchna. Po tem pustkowiu nawet prawdziwe mary się nie włóczą, a gdy czasem wyjdą się przewietrzyć — nie mają kogo straszyć, poznają siebie i idą spać, ziewając. Nie zaślubisz chyba mojej myśli, bo jej nie wzruszysz.

Takom gościa mego płoszył, lecz — nie odszedł. Z za dworu przywołał chóry jakichś żałosnych piskląt i rozpaczliwie rozełkanych dzieciaczków, z malutkich, jakby z bólu zaciśniętych rączek splótł wianek dokoła mej głowy i łzom kazał zarosić moje myśli. Gdym się opierał jeszcze — rozpiął za oknem muśliny mroku, odpędził wiatry, dzwonki deszczu uspokoił i w ciszy oblókł się we wspomnienie. Na jednym tułaczym odblasku światła, który w mroku utkwił i rozdzielał gromady cieniów — zakołysał się wolno, wolno... Westchnienia i szepty zagrały w mej pamięci, a na świetlanej smudze, jak na pościółce, którą trumienkę Anny wysłałem, leżała — uśpiona...

To ty, Anno? O niech się wszystkie szczeliny mego serca otworzą przed smutkiem i niech mi w nim dusza zatonie tak głęboko, jak niezmierzoną jest otchłań nicości, która mi wydarła ciebie żywą. Boś ty była żywa, jak śmiała targnąć się na ciebie wstrętna ręka, która w jedną rozpadlinę śmierci ciska wszystkich — trupy tych, co z życia grobem cuchną, i bogów, z jakich ty byłaś!

Ciebie niema! Marzę... Niegdyś, kiedym patrzał na ciebie, przysiągłbym, że nieśmiertelności jutrzenką różową oblewa twoje białe czoło. Niestety, słońce złoci szczyty gór lub grzbiet fali, cień blaski te ściera, i ja widziałem, jak gasły one na twojej skroni, gdy ją całowała śmierć. Umarły moje nadzieje, bom ja wciąż myślał, że ty jedna nie uwiędniesz na tej cmentarnej niwie, i wierzył w nieśmiertelność bogów.

Wiem, że cię niema, ale czasem nie chce mi się wierzyć, żeś żyła. Bo i sen dobywa ze znękanej myśli uśmiechnięte widma szczęścia i osłania niemi, jak tęczową smugą, głębię grobu, lub krasi wydmy życia. Czy to we śnie było, żeś ty pocałunkiem spojrzenia spijała wszystką gorycz z moich ust? Gorycz i we śnie się ulatnia, ale myśl wtedy miota się bezładnie, a nad niwą moich myśli twój oddech przelewał się powiewem świeżości i zdrowia. Słowo jedno — oskrzydlało mi duszę, a dotknięcie ust kazało wzlecieć w szczęśliwość, której żaden sen by nie dosięgnął. I snów czarownych nikt nie płoszy, ani sennych widziadeł nikt zimną ręką rozpaczy nie odziewa w godowe szaty dla poślubienia ich śmierci.

A ja ją ubrałem biało, potem leżała w trumnie, potem czeluść ziemi ją pożarła. Nienawidzę ziemi.

— O, gdybym na jedną chwilę mógł przemówić do ciebie: pamiętasz Anno?

Ciskam w pustkę te słowa i nie szept mi twój wraca — lecz echo, i nie ręce twoje zawiązują węzeł na mojej szyi, lecz żmijka tęsknoty serce mi ostrym sznurkiem oplata i żądłem je nakłuwa.

dwu dynastyj i ich państw. Gazety ruskie z zadowoleniem odzywają się o tem spotkaniu, jednocześnie wszakże upominają swych sąsiadów, ażeby względem Rosyi postępowali życzliwiej i rzetelniej. Czy i jakie poruszano sprawy — nie wiadomo. Ks. Bismark uzyskał pięciokwadransowe posłuchanie, był on jednakże tak chory, że Monarcha ruski pozwolił mu w czasie rozmowy usiąść.

Nagle, cichaczem, pod osłoną tajemnicy i przybranego nazwiska wymknął się ks. Koburski z Bułgaryi i przez Wiedeń, gdzie ledwie odetchnął, podążył na Zachód. Niespodziewana i sekretna ta wycieczka zaciekawiła wielce prasę europejską. Jedni domyślają się, że ks. Ferdynand uciekł, drudzy, że pojechał po pieniądze na dalsze rządy, inni, że po żonę, inni, że do Paryża dla naradzenia się z Milanem. Najwięcej prawdopodobieństwa i wyznawców ma hypoteza pieniężna, gdyż panowanie nawet w Bułgaryi jest kosztownem a matka wszystkie swe zasoby na tę przyjemność dla syna dawno już wyczerpała.

Kłótnia między Milanem a jego żoną znowu się ożywiła i grozi wybuchem. Natalia nie zgodziła się na warunki postawione jej przez męża, a chociaż ten pozwolił jej widzieć się z synem, obstaje dalej przy swych żądaniach, które zastrzegł sobie w abdykacyi i do których upoważnia go konstytucya. Wymaga on przedewszystkiem, ażeby Natalia mieszkała po za granicami kraju i nie wpływała na syna a widywała go tylko za każdorazowem zezwoleniem ojca. Ex-królowa, dostawszy się raz do Belgradu, chce w nim pozostać. Naturalny i — według objaśnień Milana danych współpracownikowi gazety paryskiej *Soleil* — niezwykły jej upór zyskał jej podniotę w serdecznem przyjęciu, jakie jej zgotowała ludność. Ale jak donoszą gazety, ludność ta wobec zaciętości Natalii zaczyna chłodnąć i objawiać swe niezadowolenie. To też skupczyna będzie musiała zająć się określeniem stosunku młodocianego króla do jego rozwiedzionych rodziców i ustalić jakieś prawidło zapobiegające skandalom.

Młodo-czesi złożyli w sejmie projekt adresu do monarchy, wyrażający potrzebę jego koronacyi na króla czeskiego i przywrócenia związanych z nią praw. Jest to długi wywód dziejowy, rodzaj prelekcyi naukowej, która—według staroczechów — nie dorównywa odpowiednim ustępom dobrych podręczników historyi. Czy zasada tego projektu się utrzyma, a jeśli tak—w jakiej postaci wyjdzie on z operacyi narad sejmowych — wkrótce się dowiemy.

Crispi zapowiedział i wygłosił „wielką“ mowę w Palermo. Naturalnie poświęcił on ją obronie swej polityki a zwłaszcza udziału Włoch w trójprzymierzu. Nie uznaje on się winnym klęsk ekonomicznych, które na kraj spadły, gdyż ich źródło nie leżało w jego czynach; co zaś do kontraktu z Niemcami i Austryą, to on — według ministra — postawił Włochy w rzędzie wielkich państw jako równorzędne im. Kilka ciosów wymierzył Crispi w Watykan, powtórzywszy mu raz jeszcze, że minęły bezpowrotnie piękne dni Aranjuezu, że państwo papieskie należy już do wspomnień historycznych, że Rzym wprzód był włoskim, niż papieskim i teraz do swych właściwych posiadaczów wrócił — a wrócił ostatecznie.

Pokonany, ośmieszony i zarówno przez swych opiekunów, jak służalców opuszczony Boulanger osiadł na wyspie Yersey, udając po części Napoleona I, a po części Wiktora Hugo, którego dom chciał nawet wynająć. Podobno w tej samotni ma się poświęcić literaturze; gdyby był u nas, postarałby się może o posadę na kolei. Dotąd jeszcze mizerny ten komedyant gra rolę wielkiego człowieka sposobami wielkiego błazna, a chociaż wszystkie gazety wystawiły mu świadectwo śmierci, czy jeszcze nie zmartwychwstanie — stanowczo rozstrzygnąć trudno, pamiętając, że we Francyi i to jest możliwem.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SZKOŁY ZAWODOWE.

Wykształcenie fachowe wejdzie u nas wkrótce na nieznane dotąd tory: ustawa o szkołach przemysłowych, uświęcona prawodawczo w dniu 18 lipca b. r. stanie się obowiązującą i dla Królestwa Polskiego. Będzie to nowy czynnik w naszem życiu społecznem i gospodarczem, które od chwili jego wystąpienia popłynąć może zupełnie innem korytem. Podzielono na średnie i niższe, szkoły zawodowe pod względem specyalności rozpadać się będą na: mechaniczne, chemiczne, budownicze, górniczo i gospodarstwa wiejskiego (rolnicze). Ale prócz tego ustawa przewiduje kombinacye tych głównych typów, łączenie ich po kilka razem np.: chemiczno-techniczne, górniczo-techniczne, rolniczo-górnicze itp. Zadaniem szkół technicznych średnich będzie kształcenie pomocników inżenierów i kierowników przedsiębiorstwa, szkoły zaś przemysłowe niższe dostarczać będą uzdolnionych i obeznanych z techniką wytwórczości dozorców robotniczych po fabrykach. Szkoła rzemieślnicza stanowić ma najniższy szczebel wychowania fachowego: nauczenie robót z zakresu jakiejkolwiek gałęzi produkcyi oraz udzielanie wiadomości teoretycznych — oto jej cel. Utrzymanie tych nowych zakładów wychowawczych spoczywać będzie na państwie, ziemstwach, zgromadzeniach, osobach prywatnych, lub też na współudziale wszystkich tych źródeł. Utrzymywane lub wspomagane przez skarb dostaną odpowiednie przepisy rządowe, nauczyciele zaś ich i uczniowie korzystać będą ze szczególnych praw i przywilejów, do których wszakże, za zgodą rządu, dopuszczone mogą być szkoły istniejące kosztem ziemstw, zgromadzeń itd. Oto jest szereg typów szkół zawodowych uznanych przez ministeryum oraz kosztorys każdej z nich: 1) szkoła rzemieślnicza— koszt utrzymania rocznego: 11,960 rs.; 2) niższa budownicza—16,802 rs.; 3) niższa ekonomiczna — 17,518 rs.; 4) niższa mechaniczna — 19,446 rs.; 5) średnia ekonomiczna — 24,897 rs.; 6) średnia górnicza — 25,583 rs.; 7) średnia rolnicza — 25,766 rs.; 8) średnia budownicza — 26,983 rs.; 9) średnia mechaniczna—27,311 rs.; 10) niższa chemiczno-budownicza — 29,585 rs.; 11) n. mechaniczno-budownicza— 31,503 rs.; 12) n. mechaniczno-chemiczna — 32,219 rs.; 13) średnia rolnicza z rzemieślniczą — 34,365 rs.; 14) niższa mechaniczno - chemiczno - budownicza — 45,926 rs.; 15) średnia górniczo-rolnicza — 45,954 rs.; 16) ś. mechaniczno-chemiczna—46,813 rs.; 17) ś. mechaniczno-budownicza — 48,854 rs.; 18) niższa mechaniczno-chemiczno-budownicza wraz z rzemieślniczą — 54,491 rs; 19) średnia mechaniczno-budownicza i niższa budownicza — 62,401 rs.; 20) górniczo-chemiczna i mechaniczna (na wzór szkoły w Krasnoufimsku)—63,522 rs.; 21) średnia mechaniczno-budowniczo-chemiczna — 69,126 rs.; 22) średnia i niższa o trzech specyalnościach — 106,282 rs.; 23) taka sama szkoła w połączeniu z rzemieślniczą — 117,117 rs. Ta z góry naszkicowana przez władzę centralną modła i stosowana przy otwieraniu szkół przemysłowych, bez uwzględnienia miejsco-

---

Twój szept zwałem niegdyś szmerem strumienia, którym płyną myśli z bogów najlepszego. Dziś uwiądł zielony gaj, pod ozłoconem sklepieniem którego sączył się ten strumień, a jego — popioły zasypały. Grzebiąc w nich myślę, że nie byłaś ty ani bladym kwiatem, który na śniegach wzrasta, ani małą iskrą, która długo pod popiołami tlić może, i pytam, kto rozpala takie wielkie płomienie na cmentarzysku, gdzie dość biega błędnych i nikłych ogników, odradzających się z błota? Miasto serc, płoną one w piersiach cmentarnego ludu, i przeto nikt zeń nie umiera, a jego cząstki, jak członki robaka, pokrajane, odrastają i żyją. Bo tu śmierć jest tylko pozorna, jednego zakopią, a dziesięciu wypełznie na bagniska. Bo tu życie jest złudzeniem, gwar — ciszą, ruch — bezwładnością, obecność tłumu — pustkowiem.

Z dalcka, bo z przeszłości, słyszę, biedna, twoje skargi, które tak długo tylko, jak moja pamięć, żyć będą.

„Czemu mi zimno pośród nich, choć wesołość ich rozgrzała, czemu mi pusto tam, gdzie ich jest wielu?“

„Ich spojrzenia mnie kłują, śmiech—ziębi, mowa — obraża. Czy dusze mają zamknięte w skorupach i myślą, iż moja okryła się najgrubszą, że tak bezmyślnie, czy tak zjadliwie oblewają mi ją niechęcią! Patrz, drogi, na ich serca, jak obficie ją poczynają sączyć, gdy my się zbliżamy. Usuńmy się. Szczęśliwi są, gdy — sami, nasz widok budzi w nich straszliwą złość, która czyni ich szalonymi.“

Jakże stopy twoje zbolałemi były, gdyś już dochodziła do krawędzi, gdzie kończył się cmentarz, a poczynała przepaść mroczna i pusta. Szłaś niechętnie, wlokąc ciało wynędzniałe na karmi smutków i wracać nie chciałaś i nie śmiałaś żądać prędszego końca. Żaliłaś mi się:

„Nie tego płaczę, żem okiem przebiła zachmurzone niebo i przez szczelinę zapatrzyła się na słońce, ale tego płaczę, żem oczów nie mogła obronić przed dymem, który je powoli wyżarł. I dziś słońce świeci, ale ja pod powieką czuję tylko ból.“

„Duszę mi obsiadły pyły i prochy, długi dreszcz wstrętu przenika mnie od nich i zdaje mi się, że z pod każdego sączy się kropla krwi. A przecież tyś ją nazywał piękną i przezroczą i słońce chętnie składało w niej swe odbicia, ale myśmy nie bogi i nie mieliśmy takiej szaty, by jej nie przebiła kurzawa życia.“

„Chciałabym przestać patrzeć na siebie, a oglądać jeszcze coś pięknego. Tymczasem śmierć zdmuchnie razem ze mną wszystko z przed moich oczu. Jeśli słońce będzie później świeciło, to ślepi go nie zobaczą. Wytłomacz mi to wszystko, mój drogi, a jeśli nie możesz, pozwól, niech poszukam spoczynku.“

I odeszła—nie zniżając wzroku. A wprzód nie wzięła do ręki małych kagańców z błędnymi ognikami, którymi ludzie obdarzyć ją chcieli, obiecując, że postawią ją wysoko, byle im świeciła. Ale te płomyczki nawet zmierzchu nie rozjaśniają, a oni chcieli, by były światła i razem noc dokoła na cmentarzu, gdzie stypy sprawiają. Mówili na nią: „zła, niepokorna,“ a ona była tylko żywą między nieżywymi i chciała gromadę ich wprowadzić na górę wysoką, której szczyt rozdziera ciężkie chmury, zasłaniające nieprzerachowane słońca. Ci się lękali. Czemuż więc między upiorów schodzą żywi, kiedy wracają w ciemność skrwawieni, omdlewający i tak samotni, jak przyszli?

O gdybym na jedną chwilę mógł przemówić do niej: pamiętasz Anno?

Lecz na mowie mam więzy, i w oczach moich uczyniony został z człowieka cień, rzucony w próżnię, i został rozwiany duch, jak szmata mgły, a ja nie znajduję tego, kogobym pragnął postawić przed wzrokiem mego bólu i jego płomieniem, opasać go, uściskać, na ustach mu podziękę złożyć—za Annę.

F. Brodowski.

wych warunków i potrzeb, byłaby kosztowną i chybiającą celu próbą. Komisya odnośna w Petersburgu skłaniała się na stronę tak mylnego kierunku, ale napotkała przeciwny pogląd Rady państwa, która uznała za stosowne polecić ministeryum oświaty roztrząsanie nadsyłanych przez miejscowe organy danych i wybór na tej podstawie odpowiedniego typu szkoły. W Rosyi już przystąpiono do wcielenia w czyn ustawy szkół zawodowych; szkoła realna w Krasnoufimsku tak świetnie i samodzielnie rozwinięta i techniczna w Irkucku ulegną wkrótce przekształceniu na t. z. „przemysłowe." W tym też celu skasowane zostaną progimnazya w Briańsku, Zyzdrze i Ustiużnie, na co minister oświaty wyasygnował na rok bieżący 50,000 rs.

Co do Królestwa, to, o ile można wierzyć reporterskim doniesieniom, sfery właściwe podobno „zajęły się" zbadaniem sprawy, jakie mianowicie szkoły u nas i gdzie, typu zatwierdzonego ustawą z d. 8 lipca, mogą być stosowane z pożytkiem. Zdania zwierzchności tutejszych mają służyć za podstawę w tej mierze. Materyał, zebrany od władz miejscowych Królestwa rozpatrywany będzie z końcem bieżącego lub na początku przyszłego roku, decyzya zatem nastąpi chyba nie prędko... Tymczasem, wobec skutków reformy szkolnej (zacieśnienia kastowego), dającej się uczuwać u nas średniej klasie od dwóch lat, pośpiech byłby wielce pożądanym. Po zaparciu drzwi gimnazyów przywilejem i cenzem majątkowym, dla większości naszej młodzieży najnaturalniejszym upustem została szkoła zawodowa i jej narodziny oczekiwane są niecierpliwie.

My zaś ze swojej strony powitajmy ją szeregiem uwag, bo suche zaznaczenie tak donioslego faktu jest niewystarczającem. Wyżej rzekliśmy, że systematyczne i powszechne wykształcenie fachowe może łożysku naszego życia społeczno-ekonomicznego nadać nieznany dotychczas kierunek. Istotnie. Dążnością „szkół przemysłowych" jest podniesienie wytwórczości pracy, że pominiemy inne uboczne ich cele... Przemysł nasz wielki stworzyły warunki sztuczne, może nawet przemijające — cła ochronne. Istnienie jego zależnem jest od takiej lub innej polityki gospodarczej, np. choćby do taryfy różniczkowej, obliczonej na obronę produkcyi przetwórczej w głębi państwa. Gdyby pewnego pięknego poranku fabrykantom-niemcom *zbrzydło* szczepienie u nas kapitalizmu europejskiego i opuścili nas razem ze swoją rodzimą siłą roboczą kwalifikowaną (werkmajstrami, pomocnikami, technikami), toby nam została do wyzysku tylko prosta ciemna siła robocza z nielicznymi fachowcami do jej kierowania. Otóż drzemiąca śród nas energia, wyćwiczona w szkole zawodowej, pobudzona nowoczesną wiedzą techniczno-przyrodniczą, jako siła rozumna i świadoma siebie, wyładowaniem swojem bardziej celowem może z czasem położyć kres osławionej polskiej nieprzedsiębiorczości. Trudno przewidzieć wszystkie możliwe kierunki działania ludzi wychowanych w szkołach przemysłowych, ale to pewna, że setki głów pomysłowych (górników, chemików, mechaników, rzemieślników nieznających co to jest terminatorstwo), odegrają ważną rolę w niedalekiej przyszłości w rozwoju naszego życia ekonomicznego.

Nie ulega wątpliwości, żeśmy już obie nogi włożyli w kolej rozwoju zachodnio-europejskiego, innemi słowy — wstąpiliśmy na drogę kapitalizmu; szkoły więc przemysłowe, tj. wykształcenie zawodowe uczyni z nas pojętniejszych jego synów, mogących łatwiej pomagać jego rozwojowi...

Zyg. Atanazy.

LISTY PETERSBURSKIE.

(Dokończenie).

Po usunięciu jezuitów sędziwy metropolita ks. B. Siestrzeńcewicz odetchnął całą piersią. Zakon, uznający tylko władzę Rzymu i patrzący na świeckiego arcybiskupa, jeżeli nie z góry, to przynajmniej jako na równego sobie — zniknął. Pierwszym tedy krokiem pasterza było — utwierdzić swój wpływ na sprawy tej parafii, która tak długo nie uznawała jego władzy. Tym tylko sposobem możemy sobie wytłomaczyć przyczynę, dla czego regulamin 1769 r. zastąpiono *czasowem* prawem 1823 r.

Jeżeli w 1797 r. pomimo znacznej liczby syndyków, mających przy głosowaniu przewagę, faktycznie przeor rządził, inaczej nie wzbraniałby dokonania rewizyi, to tembardziej od 1823 r. mógł działać, jak mu się podobało. Zarząd od tego czasu składa się z czterech członków: przeora, wice-proboszcza i dwóch syndyków, postawionych też z ramienia duchowieństwa, a więc zgodnych z jego poglądami, zresztą gdyby nawet syndycy w czemś nie zgodzili się, duchowni mają przewagę, bo głos przeora w każdej sprawie nie jest równoznaczący głosom innych członków, a skoro zdania się dzielą, przeważa ta strona, po której on stanie. Dodajmy, że przejrzenie sprawozdań zarządu należy jeno do metropolity, czyli poprostu — do jego kancelaryi, a ujrzymy, że właściele dobra kościelnego znaleźli się w gorszych warunkach, niż za czasów jezuitów; natenczas wyraźnie było oznaczono, iż ojcowie powinni *„coroczne* składać sprawozdanie ze swego zarządu wybranym z łona parafii członkom," zaś od 1823 r., gdyby duchowieństwu przyszła chęć sprzedać komuś majątek, parafianie powinni patrzeć na to obojętnie, a nawet, aby nie zyskać nazwy heretyków, mieć minę wielce zadowoloną. Lecz wróćmy do toku historyi — do czwartego jej okresu.

Gdy węzeł, łączący parafian z kościelnym majątkiem, został rozerwany, prawo obioru syndyków stało się martwą literą. Jacyś ichmościowie, o działalności których wiedziała tylko administracya kościelna, mało interesowali parafian. Zwykle w pewnym dniu proboszcz, podług własnego upodobania, wzywał mającą stosunki, lub zaprzyjaźnioną z zakonnikami gromadkę wiernych, a częstokroć poprostu podrastających uczniów szkoły — i ci wybierali wskazanych przezeń kandydatów. Dobrze to było, czy źle — trudno dziś sądzić. Wiadomo tylko, że po długim panowaniu Sokulskiego, przeorami byli: Jodziewicz, Staniewski, Stacewicz, a każdy z nich rządził według tego, jak mu sumienie radziło. Są to czasy najbardziej ciemne, po nich pozostała tylko jedna wiadomość, że niejaki Pl..... zaufany sługa i kasyer zarządu zgarnął do worka 32 tysięcy i czmychnął. Dla uniknięcia skandalu nie poszukiwano go.

W 1866 roku przeorem został ks. Szkiłońdź, który z nominalnym udziałem syndyków rządził lat 9. Głównym kasyerem, rachmistrzem i rządcą był brat przeora — człowiek świecki.

W owym czasie jeden z oo. dominikanów a mianowicie ks. Łukaszewicz — wielce czynny — postanowił założyć pensyę żeńską i w tym celu pukał do serc wiernych, aż zebrał tyle grosza, że wystarczyło na urządzenie pensyi i na kilkanaście stypendyów dla biedniejszych dziewcząt.

Krom tak zaszczytnej działalności ks. Łukasiewicz postanowił założyć cmentarz katolicki. W owym czasie Najwyższym reskryptem ofiarowano na ten cel kawał gruntu za miastem, na tak zwanej Wyborskiej stronie. Wielebny ojciec jął zbierać ofiary na oparkanienie cmentarza i na budowę kościoła. Władza duchowna przydała mu do pomocy trzech członków parafian; ci — jak się potem okazało— pełnili funkcyę tylko honorowo-nominalną: zbierał składki i wydatkował pieniądze ks. Łukaszewicz sam, bez wszelkiej pomocy członków komisyi.

Pewnego razu rozeszła się wieść, że przy budowie kościoła rachunki wcale się nie prowadzą, że pieniądze, zebrane na szkołę żeńską, wydają się na urządzenie cmentarza. Natenczas władza kościelna wyznaczyła komisyę pod przewodnictwem przeora dla zbadania stanu rzeczy.

Po przybyciu na miejsce o. Szkiłońdź zapytał, azali są księgi przychodu i rozchodu; na co ks. Łukaszewicz odparł:

— Do czego mnie potrzebne te księgi? Sam zbieram, sam i wydatkuję.

Wszystko się tedy skończyło dobrze — chociaż niezupełnie, bo obrażony ks. Łukaszewicz zaczął szukać sprawiedliwości; poniekąd udało się mu ją znaleźć, albowiem i władza kościela i zakonnicy stanęli po jego stronie; skutkiem tego w 1875 r. wybrano go i zatwierdzono przeorem zgromadzenia oo. dominikanów.

Pewnego wieczora ks. Szkiłońdź wraca do domu, aż znajduje swe sprzęty na korytarzu: nowy przeor już się przeniósł do mieszkania.

Zdziwiony zakonnik otwiera drzwi, chcąc się dowiedzieć, co to znaczy? Lecz w progu spotyka szyderczą twarz nowego zwierzchnika, który mu powiada:

— Otóż teraz zjem ciebie...

I rzeczywiście zjazdł. Dla wyjaśnienia sprawy trzeba wiedzieć, że dom pojezuicki, wkrótce po wydaleniu zakonu, za długi wzięto na rzecz skarbu; letni dom pojezuicki też sprzedano — pozostawał tylko dom kościelny. Owóż dla powiększenia dochodu, o. Szkiłońdź w czasie swego przeorstwa postanowił w owym domu zbudować nowe skrzydło — co też i wykonał. Rachunki wydatków prowadził rządca domu, a prowadził, jak się potem okazało, niedbale...

Nowy przeor zapotrzebował natychmiastowego sprawozdania i znalazłszy niedokładności, doniósł przyjaznej mu w tym czasie duchownej władzy.

Po sprawdzeniu ksiąg okazało się, że brak 8 tysięcy. W skutek tego od rzekomego winowajcy wyegzekwowano niedobór i wysłano go, rzeczywisty zaś winowajca został zastąpiony nowym rządcą.

Zauważmy, że ks. Łukaszewicz ze swej strony, po ukończeniu budowy kościoła, złożył też sprawozdanie.

Nie wdając się w krytykę owej księgi, sporządzonej na prędce i niewytrzymującej najpowierzchowniejszej kontroli, albowiem wszystkie wydatki niepoparte są podpisami i rachunkami otrzymujących pieniądze — zwróćmy uwagę na główny punkt.

W rubryce dochodu podano, że 50 tysięcy na urządzenie cmentarza wzięte są z sum szkolnych; przyczem wielebny ojciec zobowiązał się z dochodów kościoła i cmentarza na Wyborskiej stronie na utrzymanie pensyi płacić corocznie po dwa tysiące rubli i krom tego dostarczać wszelkiego warzywa. Zaś 8 tysięcy rubli, uzyskanych od byłego przeora, w tej lub w jakiejbądź innej księdze napróżnobyśmy szukali: kto je wydawał i na jakie potrzeby — nie wiadomo.

Ks. Łukaszewicz oprócz urządzenia pensyi, cmentarza i zbudowania kościoła, przysłużył się wiernym i w innym kierunku. Za jego to czasów parafianie zbudzili się z letargu i postanowili wglądać w sprawy kościelnego dobra — a stało się to następnym sposobem.

Gdy obrażony przez przeora wielebny ojciec sam postanowił zostać zwierzchnikiem, natenczas udał się z prośbą do prefekta szkoły żeńskiej, ks. Żółtka, mającego znaczną wziętość u spółbraci zakonników, by mu dopomógł w dopięciu zamierzonego celu; w nagrodę zaś przyrzekł uczynić go sub-przeorem. Ks. Żółtek zgodził się na tę propozycyę, i pomagał jak umiał, a gdy nowy przeor został zatwierdzony, przypomniał

mu przyrzeczenie, lecz przestarzały kapłan powodując się troskliwością rzekł: „przy Bożej pomocy sam jakoś będę *harował* — szkoda mnie ciebie cierpiącego niepokoić...“ Ks. Żółtek nie zrozumiał, że dbano o jego spokój i wielce się obraził..., z innej strony sumienie mu zaczęło szeptać: przyłożyłeś rękę do zguby byłego zwierzchnika — prawda, on się nie liczył z groszem parafialnym, lecz któryż z przeorów od 1823 r. to robił? A nowy nie czynił i nie czyni tegoż samego?..

Pod wpływem owych myśli ks. Żółtek jął budzić parafian, to wykazując prawa, przyznające ich właścicielami majątku, to wyliczając wszelkie nadużycia. Z innej strony kołatał do serc wiernych, by wstawili się za o. Szkiłońdziem i kołatał nie napróżno.

Po dwu latach zwierzchnictwa ks. Łukaszewicz przeniósł się do wieczności, zastąpił go o. Brzostowski. Wkrótce skończyło się trzechlecie byłych syndyków pp. Mördera i Benois. Sekretnie, jak zwykle, w grudniu 1878 r. wyznaczono nowe wybory, lecz parafianie już czuwali: stanęli w znacznej liczbie i wybrali pp. Jochera i Zeddelera.

Tu się zatrzymajmy.

Najdrażliwszej części historyi jeszcześmy nie tknęli.

N. B.

SPRAWY EKONOMICZNE.

SPRAWA PAROBKÓW DWORSKICH.

Bolesław Zdziarski: *O najwłaściwszych sposobach wynagradzania robotników wiejskich i oficyalistów oraz o środkach zapewniających im samym i ich rodzinom byt w razie starości lub kalectwa.*

Broszura p. Zdziarskiego *) wywołała w naszej prasie już kilka i przytem dość namiętnych ocen. Zdziwiło mnie to ponickąd. Tego rodzaju prace zwykle przechodzą u nas niepostrzeżenie, a jeżeli doczekają się czasami jakiejś krytyki, bywa ona zwykle mdło-słodka i łagodna. Wtedy autorowi nie szczędzi się zachęty i pochwał, zwłaszcza kiedy występuje on dopiero po raz pierwszy. Tymczasem *O najwłaściwszych sposobach wynagradzania robotników wiejskich* przyjęto wprost niegrzecznie. *Kuryer codzienny*, który z chęci utrzymania się przy istnieniu zwykle bywa uprzedzająco łagodnym, obszedł się tu wyjątkowo ostro. Inny gentleman, w *Wieku*, widocznie sili się, aby przypiąć jak najwięcej łatek... Sądząc z przyjęcia, jakiego doznał młody autor ze strony tych organów prasy naszej, które odznaczają się zazwyczaj uprzejmością, możnaby mniemać, że praca jego jest bez żadnej wartości. Omyliłby się jednak, kto słowa tych krytyków przyjąłby za dobrą monetę. Wprawdzie praca p. Z. posiada swe usterki, lecz nie są one znowu tak znaczne. Należy chyba przypuścić, że zwietrzono w występującym autorze coś zanadto szczerze demokratycznego. Jeżeli tak, z pewnością się nie omylono. Znając osobiście p. Z., pozwolę sobie wypowiedzieć nadzieję, że jego broszurka obecna jest tylko wstępem do dalszych prac nad położeniem najmity rolnego; krytyki zaś dotychczasowe — zapowiedzią przyszłego przyjęcia...

Autor ograniczył się tylko do rozpatrzenia stanu tej części najmitów dworskich, która znajduje się u kapitału rolnego na stałym żołdzie i znana jest pod nazwą parobków. Podane szczegóły zaczerpnął wyłącznie z folwarków gubernii płockiej. Niepodobna tu drobiazgowo odtwarzać obrazu ciężkiego położenia tej warstwy, wśród której zresztą mamy do czynienia z doniosłym przewrotem—zamianą dawnych stosunków patryarchalnych na nowsze, kapitalistyczne. Dwór utrzymywał ongi pewną ilość tak zwanych pojedynków na własnym stole. Obecnie zrywa z tym zwyczajem, wprowadzając „posyłkę.“ Mianowicie każdy parobek rodzinny, będący na ordynaryi (tj. na własnem gospodarstwie domowem), obowiązany jest, prócz wysyłania żony podczas pilniejszych robót (żniw, pieleń, kopania okopowizny), do dawania tak zwanej posyłki, chłopaka lub dziewczyny, za cenę z góry umówioną. Skąd ją weźmie lub czy wogóle można dostać najmitę za wypłacane pieniądze, dwór tego nie bada. Dane, zaczerpnięte z 31 folwarków gubernii płockiej, kreślą nam położenie parobków na ordynaryi, obowiązanych dawać posyłkę; z 10 zaś innych— bez tego ostatniego zobowiązania. Stan grupy parobczanej, jakkolwiek wzięty został z jednej gubernii, według orzeczenia znawców nie bardzo się różni od warunków w innych okolicach kraju. Nie przytaczamy cyfr, podanych w tej mierze przez p. Z., gdyż w bezwzględnem swem wyrażeniu niewiele uczą; natomiast drobiazgowiej warto byłoby przedstawić z autorem niedobór w budżecie robotnika wiejskiego. Broszura zawiera zebrane w tej mierze ciekawe szczegóły. Otóż wykazuje się z nich, że roczny niedobór służącego ordynaryusza wynosi 35. 75 rs. Przytem należy zauważyć, że wymagania, postawione przez p. Z. w jego obliczeniach nie mogą wytrzymać porównania z rzeczywistością, jaka istnieje np. wśród robotników wiejskich w Anglii, tak są one skromne. Pytanie, jak zostaje pokrytym ów niedobór? Oto po części starsi w niedzielę i święta, dzieci zaś całą zimę przeleżą pod pierzyną lub przesiedzą za piecem, aby tylko nie jeść śniadania, urwać coś z kolacyi, mniej zedrzeć ubrania lub wcale go nie kupować dla dzieci. Istnieje nawet po temu przysłowie: „objad zjadł śniadanie,“ czyli ostatnie zostało przespane... Wreszcie istnieje jeszcze inny środek—kradzież, która posiada na wsi właściwe sposoby. „Ukradną oni, ukradną nawet z pod dobrego oka ekonomów i stróżów, wyniosą co im brak— to za pazuchą pszeniczki, to w butach gryki, to strączków narwą w polu, to stygi wymłócą, to ćwiartkę żyta zachowają gdzieś w słomę, to ze śpichlerza wydostaną dziurą w podłodze lub okienkiem przy pomocy sita osadzonego na kiju“ — brzmi opowieść, przytoczona w broszurze. Kradzież jest więc koniecznym warunkiem bytu parobka, bez niej organizm jego ponosiłby zbyt wielki niedobór pożywienia...

Jakiekolwiek byłyby przekonania autora co do wartości systemu najmickiego, jednakże, chcąc, aby głos jego nie pozostał bezskutecznym, musiał on poruszyć sprawę w ramkach istniejącej rzeczywistości. Przyznaje otwarcie, że sympatye jego w zakresie istniejących wzorów leżą po stronie stowarzyszeń i przedsięwzięć udziałowych, tj. takich, które przypuszczają robotników do udziału w zyskach i własności, jednocześnie zapewniając im pewną stałą pensyę, wystarczającą na opędzenie zdrowe potrzeb życiowych. Nie wierzy jednak, aby to było możliwem w naszych stosunkach, wobec nizkiego poziomu umysłowego służby oraz właściwości duchowych ziemian-obywateli *). Autor pozostaje przeto przy obecnym sposobie wynagradzania, lecz daje wskazówki co do minimalnego podwyższenia płacy i polepszenia bytu, przy których robotnik otrzymałby zdrowe mieszkanie, dostateczne pożywienie i przyodziewek. W kwestyi zabezpieczenia starości lub bytu dzieci i wdów, odsuwa powszechnie zalecaną oszczędność i za najlepszy środek uważa w dzisiejszych naszych warunkach, gdzie wszystko zależy od prywatnej pobudki i woli, system stałych rocznych wkładów, które wynosząc ze strony obywateli przez lat 35 tylko po $4^{1}/_{4}$ rs. rocznie, dałyby w końcu na starość pracownikowi jakieś rs. 500. Nie streszczamy życzeń autora co do zabezpieczeń na wypadek kalectwa, poprawy mieszkań, posiadania przez dwór lekarza itd. Natomiast damy jedno wyjaśnienie z powodu broszurki. Zarzucono autorowi, że nie odpowiada na główne pytanie, postawione w nagłówku. Gdybym miał do rozwiązania podobne zadanie, przyznam się, iż równie nie inaczej bym postąpił. Trudno zaiste wyszukiwać „najwłaściwsze“ sposoby wynagradzania, jeśli się wierzy, iż wszystkie one są mniejszym lub większym wyzyskiem. Z drugiej strony, niepodobna przemawiać do ludzi, którzy mają na oku jedynie własny interes, aby dobrowolnie opróżniali swoją kieszeń na rzecz kogoś innego, tembardziej do naszych ziemian, wśród których większość znajduje się na progu bankructwa. Niniejszą np. ocenę piszę we dworze, którego dawny mieszkaniec wyniósł się przed kilku miesiącami, niepopłaciwszy ludziom nawet za robotę zwykłej należności. Mam znowu na myśli inny majątek, zrównany dosłownie z ziemią, bez zabudowań, dworu, inwentarza... Ciężko w tych warunkach, jeżeli nawet można w jakichkolwiek, spodziewać się ogólno-klasowej filantropii ze strony obywateli na rzecz najmitów, bo przyjęcie „najwłaściwszych“ sposobów wynagradzania jest niczem innem, chociażby były jak najskromniejszemi. Ukazać się one mogą jedynie przy klasowej organizacyi i świadomości parobków. Jeżeli zaś ktoś wcieli w życie „najwłaściwsze“ sposoby, czyn jego, lubo z innych pobudek, jest zupełnie równoznaczny z fantazyą założenia— przypuśćmy — cieplarni, bo zależny od jednostkowego widzimisię.

Broszurka p. Z. może liczyć tylko na szczupłe grono chętniejszych umysłów, które nie potrzebują w tej mierze przekonywania, tymczasem zaś nie wiedzą co robić. Podaje ona szeroko najlepsze, tj. najtańsze a zarazem najwydatniejsze sposoby zabezpieczenia, wiadomość o instytucyach, gdzie możnaby je dokonać, tabliczki o wzajemnym stosunku różnej ordynaryi itd. Jest więc poradnikiem dla chcących coś zrobić obywateli, lecz niewiedzących, co i jak. Z punktu więc widzenia nagłówka zbacza w samej rzeczy od zadania. Sądzę jednak, że ten fakt dowodzi ze strony autora głębszego pojmowania stosunków społecznych, niż u niektórych krytyków, czyniących mu z tego zarzuty i hojnych na utopie „najwłaściwszych wynagradzań.“ Zamiast kazań do ziemian, aby unieśli się szlachetnością i wyrzekli klasowego interesu, p. Z. podnosi, że parobek w wielu razach ma wprost prawo do opieki ustawodawczej, której nie wyzyskuje tylko przez nieświadomość, jak np. do pewnego wynagrodzenia w razie kalectwa. Tymczasem dla obywatela daleko taniej wyniesie uprzedzić sam wypadek zabezpieczeniem odpowiedniem. Przedstawiając zaś skalę swoją minimalnych potrzeb, autor jednocześnie zaznacza, że na tem zyszcze wydajność pracy a stracą rozmiary kradzieży.

Słowem, broszura p. Z., jest podręcznikiem dla nielicznej garstki obywateli, gotowych do pewnej filantropii, o ile ta ostatnia nie przyniesie im strat, a nieposiadających po temu wskazówek. Zakres jej jest niewielki, lecz wina to już samych stosunków społecznych.

K. R. Żywicki.

*) Jest ona pracą, uznaną za najlepszą i wynagrodzoną na konkursie, ogłoszonym w odpowiedniej kwestyi przez studentów rolniczego Instytutu w Puławach.

*) Zwracamy tutaj uwagę na niewielki przy końcu książki dodatek p. Modzelewskiego, zdający sprawę o istniejącem u niego w majątku stowarzyszeniu udziałowem z parobkami.

BADANIA NAUKOWE.

ZASADY EKONOMIKI

(W. Załęskiego).

I.

Jeżeli wychodzą czasami u nas prace z zakresu ekonomiki (naturalnie mówię nie o przekładach), mają zwykle na widoku rozwiązanie lub wyjaśnienie jakiejś kwestyi praktycznej. Ukazanie się książki teoretycznej, zwłaszcza takiej, któraby usiłowała objąć całokształt odnośnych zjawisk, należy do nader rzadkich zdarzeń i chyba nie przesadzimy, twierdząc, że można je wszystkie wyliczyć na palcach w obrębie stulecia obecnego. A co w nich znajdujemy? Biorę Supińskiego, autora najbardziej okrzyczanego. Doktryna „polskiego“ gospodarstwa narodowego, w porównaniu z innemi płodkami sprowadzonemi z zagranicy, posiada tę oryginalność, że do obcych wyrobów śmiało przykleiła etykietę: „swojskie.“ W ekonomice jesteśmy albo kompilatorami sprzecznych sądów, lub też popularyzatorami; Supiński właśnie ma tę wyższość, że był uzdolnionym krzewicielem teoryj mieszczańskich, zrodzonych w piątem dziesięcioleciu w walce z herezyą ekonomiczną Proudhona i in., podczas gdy inni i tego nie przedstawiają. Nawet najwybitniejsi z naszych ekonomistów nie wnieśli nic nowego do nauki, chociaż dają się słyszeć roszczenia w tej mierze; w swej niewiadomości najwyżej odkrywaliśmy rzeczy, gdzieindziej już znane. Lecz skądże pochodzi ta jałowość? Tkwi ona w warunkach samego życia. Praw ekonomicznych niepodobna wykrzesać z rozczytywania się w autorach zagranicznych, jak to jedni czynili, ani też znaleźć w własnej głowie. Są one sformułowaniem objawów życia ekonomicznego, powstają i zmieniają się bezustannie wraz z niem i co w dniu dzisiejszym jest genialnem ujęciem rzeczywistości, jutro okaże się może fałszem. Widzimy to w prawach rządzących rynkiem zbożowym; przed ukazaniem się zboża amerykańskiego ceny zależały od produkcyi na gruntach najgorszych, zapotrzebowanie bowiem przewyższało istniejącą podaż; dzisiaj zaś dążą one w tymże kierunku, co i ceny fabrykatów, tj. są zawisłe od najdogodniejszych warunków (gruntów najurodzajniejszych, bo zaofiarowanie podniosło się ponad zapotrzebowanie, a raczej ponad środki nabywcze u potrzebujących). Smith, Ricardo, Malthus, czartyści, Quesnay, Sismondi, Carey, mogli wygłosić nowe zasady i rozwijać twórczą działalność, bo samo otoczenie wciąż drgało rozwojem i wysuwało nowe zagadnienia. Tymczasem nasz rozwój ekonomiczny jest tylko niedołężną podobizną tego, co gdzieindziej się odbywało, odtwarza po wieloletniem spóźnieniu obcokrajowe stosunki, naturalnie na drobną i zmalałą skalę. Odpowiednio też ekonomika przyznaje tylko to, co już gdzieindziej wyrosło... Zresztą ten sam zaszczyt niedołęztwa ekonomicznego dzielimy poniekąd z naszymi sąsiadami od zachodu, Niemcami, a raczej jesteśmy cieniem cienia, rzuconego od ekonomiki na Niemcy. Twórczych umysłów w ekonomice jest tutaj także bardzo niewiele. List, Rodbertus i kilku innych — oto i wszystko. A przytem ów List jest nieodrodnym synem niemieckiego partykularyzmu politycznego, inny, Rodbertus — szermierzem junkiersko-bismarkowskiego ideału państwowego. Reszta z „wielkim“ Roscherem porządkuje chaos panujący u twórczych myślicieli, godzi to, co powiedział Paweł, z tem, co wyrzekł Gaweł, wreszcie buduje gmachy słowniczo-terminologiczne. „Ekonomika polityczna po dzień dzisiejszy jest w Niemczech wiedzą cudzoziemską. Jako wykończony już towar przywieziono ją z Francyi i Belgii; profesorowie niemieccy pozostali żakami szkolnymi. Teoretyczne wypowiedzenie obcej rzeczywistości przekształciło się w ich ręku na zbiór dogmatów, tłomaczony odpowiednio do małomieszczańskiego otoczenia, tj. przekręcany“ — tak charakteryzuje jeden z najwybitniejszych nowszych ekonomistów ekonomikę niemiecką jeszcze w r. 1873. Jedyny potężny umysł twórczy w tej nauce, lubo pisał po niemiecku, żył w Anglii i kształcił się na życiu angielskiem (Marks). Wprawdzie obecnie w Niemczech rozwinął się potok życia ekonomicznego, ale wraz z nim wyrosły antagonizmy klasowe i konieczność dla ekonomiki albo zostania krytyką istniejącego porządku, albo też świadomą kazuistyką obrończą. Urzędowa młodo-profesorska wiedza przyjęła to ostatnie stanowisko lub zmieniła się na pogoń za pogodzeniem sprzecznych pierwiastków.

Zatrzymaliśmy się być może zanadto długo nad stosunkami obcymi, lecz właśnie dają one klucz do zrozumienia książki p. Witolda Załęskiego: *Zasady ekonomiki*. Dzieło to jest kością z kości i krwią z krwi niemieckiej ekonomiki staroprofesorskiej, która wydała Raua, Roschera, Hildebranda i uschła w połowicznej postaci Wagnera. Zresztą autor otwarcie się do tego przyznaje w przedmowie („będąc zwolennikiem niemieckich systemów ekonomicznych“ itd.). To z góry określa już stanowisko książki, o której mówić zamierzamy. Z tego powodu i powyższa wycieczka w obce kraje jest bardzo stosowną. Możemy być pewni, że *Zasady ekonomiki* są owocem sumiennej pracy, skrzętnie i pilnie zbierającej odezwania się i sądy przyznanych powag ekonomicznych; terminologia zajmuje tu sporo miejsca, tak, iż niektóre stronice będą wyglądały na ustępy ze słownika; wszelkie poglądy, zbyt odskakujące od twierdzeń profesorskich, uznane zostaną za herezyę, tak, iż w tym razie nawet zwykła sumienność opuści pisarza, bo czyż warto zaprzątać się jakimś „marzycielem“; lecz natomiast naprożno oglądać się będziemy za ogniem twórczym. Co więcej, w powadze szkoły staroprofesorskiej nieuwzględnieni zostaną nawet różni Schmollerzy, Brentanowie itd. Są jeszcze zbyt młodemi i rozpalonemi głowami profesorskiemi... Zresztą nie uprzedzajmy wywodów i zwróćmy się do samej książki.

Praca p. Z. stanowi próbę skreślenia ekonomii w jej całokształcie. Chcieć rozebrać ją szczegółowo, jest wprost niepodobieństwem, rzecz zajęłaby wtedy kilka numerów *Prawdy*. Trzymać się będziemy innej drogi, mianowicie wybierzemy ustępy pojedyncze, które lepiej pozwolą oświetlić pisarza. Przedtem jednak powrócimy na chwilę do podniesionego już zarzutu. Kto miał w ręku Smitha lub Ricarda, Sismondiego lub Careya (biorę autorów uznanych) i porówna ich rozprawy z pracą p. Z., odrazu zauważy ogromną różnicę — w uporządkowaniu terminologicznem. Wówczas gdy u owych pisarzów niekiedy nie wiesz, co znaczy jakieś wyrażenie i narzekasz na nieścisłość, u p. Z. znaleźć można całe stronice określeń i często takich, które wartoby zupełnie opuścić jako zbyteczny balast w podręczniku. Na pewno zapisano tu każdą definicyę, jaka kiedykolwiek przez kogoś została wypowiedziana... Sumienność pod tym względem jest wprost ze szkodą dla książki. Mniejsza zresztą o to. Ważniejsza rzecz, jak dalece autor pojął życie tegoczesne. W tym celu rozbierzemy pojedyńczy a niewielki rozdział o podziale i połączeniu pracy (str. 111—131), zresztą i tu opuszczając oddzielne ustępy, jako obojętne dla charakterystyki pisarza, streścimy główny bieg wywodów. A zatem najpotężniejszym środkiem otrzymania jaknajwiększej ilości płodów z najmniejszym nakładem ludzi i kosztów jest podział pracy. Dla udowodnienia p. Z. powołuje się na wielokrotnie przytaczane przykłady rękodzielnictwa szpilkarskiego, zegarmistrzowskiego itd. Dalej idą ustępy o korzyściach technicznych podziału pracy (robotnicy nie tracą czasu na zmianę miejsca, narzędzi itd. w tym rodzaju); zarzuty czynione mu oraz ich odparcia. Przytem techniczny podział pracy w oddzielnym warsztacie, a społeczno-produkcyjny w kraju i międzynarodowy nie zostały dostatecznie wyodosobnione, tak, że w rozumowaniu ciągle się plączą nawzajem. Zajmuje to około 10 stronic (ustępy o wolności pracy, niewoli, monopolach opuszczamy). Wreszcie rozpoczyna się rzecz o machinach, niecałe 5 stronic licząca, a w dziesiątej części poświęcone terminologii. Mowa tutaj o różnych zagadnieniach, lecz w tonie pokazującym, że maszyna wobec podziału pracy to istotny drobiazg w społeczeństwie. Cóż to znaczy? Nim damy stosowne wyjaśnienie, w tym rozdziale skreślimy drobiazgowo cechy *Zasad ekonomiki*. A więc kraj nie może np. posiadać kwitnącego rolnictwa bez rynków zbytu lub licznej ludności miejskiej, jak gdyby dzieje Indyj Przedgangesowych i spółkowin Jawy nie były stanowczem tego zaprzeczeniem; podział pracy ma powstawać w rodzinie, jak gdyby rodzina była pierwotną komórką społeczną. Na podziale pracy są oparte niby różnice klasowe, tymczasem np. w spółkowinach jawańskich i w całym ustroju pokrewnym istnieje ścisły podział pracy bez obecności klas. Podobnie musimy zauważyć, że nie podział pracy zwiększa różnice majątkowe, lecz rozmieszczenie przywilejów społecznych (np. kapitałów); jako dowód na poparcie twierdzenia swojego, p. Z. dowodzi, że bez podziału pracy bylibyśmy wszyscy biednymi i ubogimi, jak gdyby jedno stało z drugiem w związku przyczynowym! W innem miejscu zbija twierdzenie Rousseau'a, że tylko człowiek pierwotny jest rozwinięty różnostronnie (fizycznie, umysłowo i społecznie), faktem, że człowiek wykształcony przecięciowo dłużej żyje (przy troskliwości organizm suchotniczy może przeżyć dłużej aniżeli zdrowy!). Doświadczenia czynione w 1848 r. miały znowu przekonać, że kapitały i kapitaliści muszą współdziałać przy produkcyi, jak gdyby ktokolwiek zaprzeczył kapitałowi tej roli (nazywano go tylko inaczej: narzędźmi pracy, bo inaczej pojmowano społeczne jego stanowisko); p. Z. przeoczył przytem, że próbę robili sami kapitaliści i oczywiście nie w celu przekonania kogokolwiek o swej bezużyteczności. Gdyby zaś szło o dowiedzenie, możnaby powołać się na życie — akcyonaryuszów-kapitalistów, którzy spełniają ledwie jedną bardzo „produkcyjną“ pracę obcinania kuponów, podobnie jak szlachta francuska XVIII w. wywiązywała się z posłannictwa dziejowego na balach dworskich... Niektórzy utrzymują, że fabryki wpływają na zbytnie zwiększenie ludności fabrycznej i między innemi sprowadzają obniżenie zarobków i pracę nad siłę; otóż p. Z. zbija to twierdzenie faktem, że zniżanie zarobków i długość znaczna dnia są następstwem przeludnienia pomiędzy ludnością fabryczną. A właśnie Marks (być może mylnie, lecz należałoby obalić jego twierdzenie!) dowodzi, że przeludnienie jest następstwem wyrzucania przez maszyny rąk roboczych na bruk. P. Z. twierdzi, że społeczność otrzymuje z każdego postępu mechanicznego itd. coraz większe korzyści (str. 131); to jednakże p. Z. nie przeszkadza w innem miejscu (str. 318) powiedzieć, że dotychczas wszelkie ulepszenia ten tylko miały skutek, iż coraz większa liczba istot ludzkich prowadzi takie samo życie trudów i udręczeń, jak dawniej, i że zwiększyły one przyjemności życia tylko średniej klasy. Powyższe sądy, bezwarunkowo mylne, są wypowiedziane z całą dogmatycznością; zebraliśmy je na przestrzeni niecałych 15 stronic i to nie wszystkie, gdyż inne jeszcze przytoczymy w dalszym toku.

A teraz po tem zboczeniu wracamy do przerwanego wątku. Pozostawiliśmy p. Z., kiedy poświęcił sporo miejsca podziałowi technicznemu pracy wewnątrz warsztatu, uważając go za najpotężniejszy środek otrzymania jaknajwiększej ilości plodów z najmniejszym nakładem trudu i kosztów, podczas gdy maszyny odsunął względnie na plan dalszy. Cóż to oznacza? Wskrzeszmy Smitha z jego szerokimi widnokręgami i każmy mu napisać powtórnie swoje dzieło. Jestem pewny, że ojciec ekonomiki powiedziałby, iż najpotężniejszym środkiem otrzymania jaknajwiększej ilości plodów z najmniejszym nakładem kosztów i trudu jest maszyna, że podział pracy w warsztacie jest objawem zanikającym, lubo mało ważnym, w najbardziej rozwiniętych ekonomicznie krajach; w ciągu dalszym przytoczyłby, że podział pracy w szpilkarstwie i zegarmistrzostwie doprowadził obecnie do maszyn i te ostatnie są bardziej wytwórcze. Gdyby poszedł dalej w zrozumieniu roli maszyn, wykazałby wprawdzie pewne szkody, lecz jednocześnie uchwyciłby przewrotową stronę prądu, mianowicie, że już obecnie w Ameryce północnej, jeśliby nawet zachowano własność rentującą, lecz usunięto przymusowe bezrobocia, święta, straty z anarchii rynku (butwienie np. towarów) itd., robotnik pracowałby 5 godzin dziennie dla zaspokojenia swych „amerykańskich“ potrzeb i wydania renty kapitalistom. Innemi słowy, dowiódłby, że zbliża się chwila, kiedy człowiek pracujący, przy odpowiednich warunkach społecznych, mieć będzie obok pracy fizycznej jeszcze czas na kształcenie umysłowe i uczestnictwo w sprawach społecznych. Zgodnie nowi pisarze angielscy (np. Fawcett i Jevons) bardzo mało uwzględniają podział pracy w warsztacie, amerykanin zaś Wells (obrońca indywidualizmu ekonomicznego) i angielski ekonomista Marks (lubo piszący po niemiecku) uważają odpowiednie warunki już za minione. Atoli przykłady o szpilkach z przeszłego wieku, rozszerzone ustępem Saya o kartach z początku obecnego, przeszły do sumiennych starych profesorów niemieckich, którzy wzrośli jeszcze w pełni małomieszczańskiego (tj. rzemieślniczego) gospodarowania, i wciąż się tułają chociażby z tego powodu, że ponieważ raz są wypowiedziane, niepodobna je pomijać... Mniejsza, że życie przechodzi nad niemi do porządku dziennego. Tak samo p. Z., pisząc w r. 1889 podręcznik *Ekonomiki*, patrzy ze stanowiska postępowych metod produkcyi z przeszłego wieku. Całe stulecie rozwoju technicznego nie istnieje! To jednak nie przeszkadza mu stać w innych razach na gruncie chwili — np. podnosić kwestyę społeczną, która jest nieodrodną córą produkcyi maszynowej. Słowem krytyka, której życie poddało techniczny podział pracy przez przeciwstawienie mu maszyny, jest daremną. Wprawdzie zrozumieli tę naukę krytycy, jak Marks i Engels, zachowawcy jak Le Play i Hitze, atoli są to kierunki, względem których p. Z. opuszcza zwykłą sumienność cytowania. Przykład powyższy jest ważny, bo przewybornie charakteryzuje naszego ekonomistę. Przeszłe stulecie i obecna chwila u niego się plączą na każdym kroku. Cytuje on nawet Franklina (str. 93), że „węgiel kamienny i kanały uczyniły Anglię tem, czem jest obecnie.“ Wszechwiedzący amerykanin! Przed stu laty prorokował o Anglii tegoczesnej! Usuńmy jednak żart na stronę i zobaczmy, co pod nim się ukrywa. W przytoczeniu Franklina występuje p. Z. z wszystkiemi właściwościami: nie opuszcza żadnego zdania, które zostało wypowiedziane, oświetla teraźniejszość ze stanowiska przeszłowiekowego, nie uwzględnia nowoczesnych warunków, gdyż niema tego u staroprofesorskich powag niemieckich...

Ludwik Krzywicki.

JĘZYKOZNAWSTWO.

Prace filologiczne, wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Tom III. Zeszyt I.

Zważywszy warunki, śród których badacze, w jakimkolwiek kierunku pracujący, liczyć się u nas muszą, można czuć radość z powodu tego wydawnictwa. Szczupła garstka wydawców *Prac filol.* ma nadto jedną przeszkodę więcej, niż inni specyaliści, wypływającą z niepopularności samej lingwistyki, o której ogół nasz słucha jak o żelaznym wilku.

Okoliczność ta pociąga za sobą trudności finansowe wydawnictwa, niepłacącego kosztów nawet papieru, a istniejącego tylko dzięki zasiłkom Kasy im. Mianowskiego.

Zeszyt bieżący zawiera w sobie *par excellence* przyczynki do dziejów języka polskiego i dyalektologii. Nadto zanotować wypada fakt, iż do grona współpracowników, dotąd może zbyt wyłącznego i zamkniętego w sobie, przybyło kilku innych, dotąd nieznanych, krzątających się koło gwar ludowych, które po macoszemu traktuje tak zwana filologia.

Prace filol. nie są wszakże doskonałością idealną, niewolne od usterek, przeważnie technicznej natury. Mam tu na myśli rozprawę p. Kaliny p. t. „Przyczynek do historyi koniugacyi słowiań.“, rozciągniętej aż przez kilka tomów, co utrudnia objęcie całości. Niemniej rozprawa ta może być z korzyścią zużytkowaną przez pracujących na niwie slawistyki, jako materyał zebrany z monografij Schleichera, Curtiusa, Bezzenbergera, Osthoffa i in.

Autor „Przyczynku“ stara się wyjaśnić rozwój formacyi słowa, stosunek jej do imiennej, tj. stronę formalną tematów (lub pierwiastków) i łączność ich z przyrostkami. Łączność ta pomiędzy tematami słownymi i imiennymi dawno już jest znaną, tak, iż nawet poczęto przyznawać formacyom słownym pochodzenie imienne.

P. Kalina o tej hypotezie wątpi — i słusznie przypisuje kwestyi budowy tematów słownych znaczenie metodyczne. Poznawszy bowiem budowę tematów, zrozumieć dopiero możemy samą koniugacyę i jej podział. Przyjdziemy również do przekonania, iż znajdujące się dotąd w gramatykach „spójki“ w sferę idei przejść muszą, że podobny los czeka też podział słów na bez — i spójkowe, a natomiast wykaże się nowy: na pierwotne (pierwiastkowe) i pochodne (tematowe); że podział słów na klasy jednotematowe jest niemożebny, lecz przyjąć należy wiele tematów, stosownie do różnic w ich budowie zachodzących.

W dalszym ciągu zeszytu prof. B. de Courtenay pomieścił swój odczyt „O zadaniach językoznawstwa,“ z których w swoim czasie zdaliśmy sprawę czytelnikom, oraz dokończenie życiorysu i oceny prac Kruszewskiego, zmarłego w Kazaniu.

P. Przyborowski załącza urywek, a właściwie zbiór rozmów łacińsko-polskich z kroniki Wincentego, rękopiśmiennej. Jak mniema szan. profesor, rękopis ten pochodzi z końca wieku XV-go. Zbiór ów przedstawia się pod względem grafiki nader niejednostajnie, szczególnie co do nosówki. Niejednostajność ta jest wspólną rękopisom współczesnym, tak, iż wielu dotąd sądziło, iż w wieku XIV i XV nie było zróżnicowania *ą* i *ę*.

Ciekawym przyczynkiem do dziejów języka są podane i objaśnione przez pp. Kryńskiego i Brücknera zabytki „Żywot naboszny panny Eufraxyey przez brata Yadama“ (1524 r.) i „Glossy Wrocławskie.“ Pierwszy nie różni się od innych współczesnych, jak: „Żywot Pana Jezu Krysta“ i in., znanych już z poprzednich tomów *Prac fil.* Drugi za to jest nader ważnym, naprzód dlatego, że wogóle „gloss“ polskich na średniowieczne teksty łacińskie z XII i XIV w. nie posiadamy, piśmiennictwo bowiem polskie nie przechodziło stadyów pośrednich, lecz pozostawało pod wpływem czeskim, powtóre, że „glossy“ owe w „Kodeksie wrocławskim“ przedstawiają odrębne zjawiska głosowe. I tak: widnieje tutaj zamiana samogłosek *e* i *a*, co nie zawsze można kłaść na karb pisowni. Zamiana ta bowiem odbywa się w pewnych, stałych warunkach, mianowicie przed, po *j* lub też przed dźwiękami miękkimi, np. *jabłko, ożywiające*; nasuwa się przeto myśl, że zmianie graficznej towarzyszyła zmiana głosowa. Godnemi również uwagi są formy: *nowożenia, oje, kropierz* (*croupière*). Zauważyć nadto winniśmy, że trafiające się w „Gloss. Wrocł.“ *y* po *sz, cz* nie oznacza bynajmniej miękkości owych spółgłosek, lecz jest prostym nawykiem glossatorów; w XV-ym bowiem wieku dźwięki te nie były już miękkimi, tak w polskim, jak i w czeskim. Uwaga powyższa stosuje się i do form: *potraby, more* i in., gdzie *r* nie ma swej wartości fonetycznej, lecz jest zastępczą dla *rz*.

Przechodzę do dyalektologicznych przyczynków pp. Ziemby i Ciszewskiego, poczerpniętych z Beudzińskiego i Olkuskiego. A. Ziemba zaznacza jotacyzm, pochylenia *a* na *ao* i inne właściwości znane nam i skądinąd, ale za to odrębnością jest końcówka *ek*, zam. *em* w czasie przeszłym.

Słowniczek p. Ciszewskiego ma daleko bardziej specyalny zakres: dotyczy on nazw miejsc, natury rolniczej i górniczej, nazw, które kiedyś miały znaczenie pospolite, dziś już zatracone. Prace tego rodzaju namacalnie, że tak powiem, ilustrują dzieje wyłaniania się nowych a tracenia dawnych pojęć w używanych dotąd wyrazach—a nadto są tem dla lingwistyki, czem cegła w budownictwie. Pożądanem jest przeto w tym względzie naśladownictwo.

Nie pojmuję, po co do zeszytu weszła rzecz p. t. „Przyczynek do narzecza kaszubskiego?“ Jest to bowiem nie żaden przyczynek do narzecza, ale przyczynek do sporu p. Sembrzyckiego z ks. Pobłockim o ilość wyrazów kaszubskich w Słowniku Mrongowiusza. Śmiało przeto p. Sembrzycki mógł się załatwić w tej kwesyi spornej na innej drodze, mianowicie bibliograficznej.

Uderza nas w tym zeszycie brak choćby drobnych artykułów p. Malinowskiego, który od pewnego czasu przestał odzywać się w *Pracach filolog.* Sądzę, iż współpracownictwo nie kosztowałoby go wiele trudu, bo, potrzebowałby tylko wziąć do ręki *Beiträge zur vergl. Sprachforsschung* Kuhna za 1870 rok i przepisywać, jak dotąd, ustępy z własnego artykułu „Zur Volksetymologie“ do polskich *Prac filologicznych.*

J. Rejmanowski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Zygmunt Wasilewski: *Jagodne*, zarys etnograficzny. Warszawa, 1889 (Bibliot. *Wisły*, t. IV).

Siedemdziesiąt już lat minęło od chwili, kiedy nasi wieszcze-estetycy, ulegając prądom zachodnio-europejskim, zajrzeli do skarbca poezyi rodzimej, i tym sposobem dali początek wszechstronnemu śledzeniu życia rdzennej warstwy narodu. Zawiązany około r. 1818, bliższy między badaczami a ludem stosunek różne przechodził koleje: temperatura jego moralna, zrazu dość wysoka, to obniżała się krańcowo, to stawała na zerze obojętności i apatyi. Dziś, próżni zachwytów romantycznych i dalecy od rozczarowań działacze zdobywają dla nauki piędź po piędzi ziemi, urzeczywistniając powoli, na własnym gruncie społecznym, sta-

rą maksymę: „Poznaj siebie samego;“ idzie tu bowiem nie o pobieżny a błyskotliwy pogląd na szerokie siedzib wiejskich obszary, ale o jak najzupełniejsze oświetlenie każdego ich zakątka.

Obecnie ukazuje się na widowni nowy uprawiacz pola etnograficznego, Zygmunt Wasilewski. Książka, którą mamy pod ręką — stosunkowo dość okazała, bo z 250 stronic złożona, przedstawia obraz jednej tylko wioski. Jagodne leży śród lasów i trzęsawisk, w których Krzna, płynąca pod Łukowem, źródła swe czerpie. Gleba jego — licha; stąd i położenie ekonomiczne rolników — zwłaszcza przy braku własnych pastwisk — dość opłakane. Typowy mieszkaniec sioła ma wzrost zaledwo średni, rysy twarzy — regularne, ustrój ciała — wątły, mowę — nieco piskliwą, temperament — flegmatyczny; odznacza się on jasnem poczuciem godności osobistej; szanuje cudzą własność; jest pobożny, pracowity i do kultury umysłowej skłonny. Fizyczne i moralne oblicze ustronia wyraźnie a drobiazgowo odbiło się na kartach pracy młodego pisarza. Ze szczególną pilnością i znawstwem ocenił autor stosunki ekonomiczne włościan, osiadłych na skrawku ubogiej niwy, a opasanych murem cudzego lasu; ujawnił obojętne ich zachowanie się wobec samorządu gminnego; wejrzał w przyczyny rozluźnienia węzłów rodzinnych i towarzyskich; scharakteryzował plutokracyę chłopską; podniósł wreszcie, jako jeden z rysów znamiennych, życzliwość ogółu kmiecego dla inteligencyi, i obudzoną żądzę oświaty. Czasem jednak w tej rozprawie sumiennej spotykamy nieuzasadnione ogólniki i sprzeczności. Tak np., określając naturę gromadki wiejskiej, uważa Z. W. za główny czynnik etnologiczny „odosobnienie“ jej „wyspiarkie“ (str. 16). Zbyteczna hiperbola. Jagodne (jak zaznaczono we wstępie) leży niedaleko Stoczka, Łukowa i Siedlec — w pobliżu toru kolei żelaznej; nie są to więc bynajmniej Chiny podlaskie: ludność ustronia z nabiałem, kurczętami, jagodami, z drzewem wreszcie przez handlarzów zakupionem (str. 55) — od czasu do czasu targi miejskie odwiedza i tym sposobem z całą komunikuje się okolicą. Wspomniawszy o rozkrzewionej bezwiednie w stosunkach ekonomicznych zasadzie „indywidualizmu,“ autor broni jagodzian od przypuszczalnego zarzutu samolubstwa; a dalej nieco (str. 79) mówi, że „katechizm“ nie zdołał zasiać skutecznie w ich duszy ziarna miłości chrześciańskiej. Nastrój więc moralno-społeczny mieszkańca wioski określa się jakiemś pojęciem pośredniem, leżącem na granicy egoizmu i altruizmu. Charakterystyka ta jest w gruncie logiczna; ale pozostanie ona dla czytelników niezrozumiałą, dopóki autor nie objaśni jej szeregiem przykładów, poczerpniętych z roczników sioła.

Autor dobrze uczynił, że stawiając pierwsze kroki na polu samodzielnych badań etnograficznych, szerokiego odrazu nie zakreślił obwodu; ale nie powinien był, jak sądzę, zamykać się wyłącznie w granicach Jagodnego. Nie jest to bowiem żadna śród pustyni oaza — wyspa samotna — odosobniona od innych włość górska lub kolonia na obczyźnie. Wiele szczegółów, przypisanych wiosce, do całego odnieść można kraju; inne charakteryzują — jużto Podlasie, jużto kilkomilowy jego zakątek; drobna zaś tylko ich cząstka określa indywidualną duszę małego ustronia. W każdym razie pierwszą tę próbę do szczęśliwych zaliczamy. Autor traktuje swój przedmiot z zamiłowaniem — a dążąc do jasnego celu, po wytkniętym przez poprzedników gościńcu, wszystkie szczegóły pilnie zbiera, umiejętnie wiąże i ostrożnie uogólnia. Rozprawa, opromieniona głębszą a wolną od przesądów myślą, zdradza w młodym badaczu nastrój ducha syntetyczny i wybitną zdolność pisarską.

A. G. Bem.

J. G. SEUME.

Pragnąłbym na podstawie znakomitego studyum *) p. Czerneckiego (profesora gimnazyum we Lwowie, odtworzyć w najogólniejszych zarysach postać zapomnianego pisarza, który z jednej strony, jako charakter niezłomny, przejęty najwyższą miłością prawdy i ludzkości, oddychał nienawiścią do wszelkiej obłudy i wszelkiego ucisku, z drugiej — jako świadek zapasów Rzeczypospolitej polskiej, biorący w nich czynny udział i poświęcający im cały szereg poezyj i uczonych rozpraw, zasługuje ze wszech miar na trwalsze wspomnienie.

Wpatrując się w rysy twarzy tego nowożytnego Dyogenesa — tak nazywają Seumego w literaturze niemieckiej — uderza nas przedewszystkiem pewna rubaszność i szorstkość, które obok głęboko na czole wyrytego smutku, cechują syna wieśniaczego w pieśni i słowie. Lecz pod tą ponurą powłoką biło serce zdolne do szerszej miłości, boleśnie odczuwające gwałty i nieszczęścia swego wieku.

Należy on do szczupłego grona „poetówczynu,“ biorących udział w współczesnych wypadkach powszechno-dziejowego znaczenia. Kiedy najwięksi poeci niemieccy owych czasów, jak Klopstok, Wieland, Herder, Lessing, Schiller i Goethe, oddani swej pracy poetyckiej, zdala się trzymają od tych wypadków, co więcej, gdy większość z nich obojętnem na nie spogląda okiem, a w dziełach ich niema ani śladu z tego, co się wówczas około nich działo, nazwisko Seumego wiąże się prawie ze wszystkiemi ówczesnemi zdarzeniami, które wstrząsnęły podstawami życia społecznego i feudalnemu ustrojowi świata nowe nadawały kształty.

Seume pałał miłością dla swego narodu i swojej ojczyzny niemieckiej, a w niej tylko tyranię i ucisk w najrozmaitszej postaci, panowanie przywilejów i kija. Miłością swą ogarniał całą ludzkość, pragnął jej dobra i szczęścia, a widział wszędzie przewagę złego, tryumf obłudy i nikczemności. Smutne koleje, jakie przeszedł i jeszcze smutniejsze doświadczenia życia wyrobiły w nim powien pesymizm, niepozbawiony jednak energii do działania. Nie był on wprawdzie ślepym na dobre strony ludzkości; sam nawet powiada w „Przechadzce do Syrakuz:“ „Chętniej widzę to, co dobre i nie szukam, ani nie wynajduję umyślnie tego, co złe;“ lecz dodaje zarazem: „radość moja z dobrego jest cicha, a gniew z powodu złego, który widzę, objawia się głośno.“ To nam tłomaczy, dlaczego tak surowo sądzi polaków, tak bezwzględnie dotyka ran własnego narodu i całej ludzkości. Sarkał zaś i zżymał się na ludzi dlatego, że ich kochał, bo nie mógł patrzeć na nieprawość, na uprzywilejowanie, które ich poniżało, bo widział jak ludzkość oddala się od ideałów, w sercu jego wypiastowanych, a podwaliny szczęścia upatrywał jedynie w sprawiedliwości.

Natura jego zbolała, lecz nie oddająca się rozpaczy i zwątpieniu, do ostatka mężnie walcząca z przeciwnościami, uwydatnia się w ciągłem nawoływaniu do wytrwania, objawia się w surowych, szorstkich napadach na wszelką niesprawiedliwość, niekiedy wybuchających nawet gniewem przeciw całemu rodowi ludzkiemu. W poezyach Seumego podziwiamy potęgę myśli, głębokie poczucie tego, co wielkie i piękne. Gdyby, jak wielu innych, doznawszy tylu zawodów w gonitwie za szczęściem własnem, tylko nad sobą się rozczulał, mógłby zjednać sobie co najwięcej litość, a litujemy się tylko nad słabymi i bezsilnymi; lecz ponieważ z pism jego bije jasna prawda, brzmią niekłamane echa cierpień ogólnoludzkich, opartych na głębokiem odczuciu stosunków ówczesnych, pociągają one nas swą odrębnością, godzą z szorstką formą i brakami, wabią i nęcą ważnością samego przedmiotu. Dlatego też cokolwiek wyszło z pod pióra tego wolnomyślnego i dzielnego patryoty, czyta się z zajęciem, bo jest wyrazem jędrnego i prawdziwie męskiego charakteru, bo wypowiada nie jakieś kwilenia lub urojone bóle, lecz cierpienia ludzkości, ojczyzny, bliźnich, które on uważa za swoje.

Ówczesny świat poetów i pisarzów niemieckich dzielił się na różne obozy, lecz Seumego nie możnaby do żadnego z nich zaliczyć: jest on samoistnym. Jak bowiem w życiu cenił nadewszystko niezależność, tak też i w pismach jego przebija się charakter samodzielny, czem był i czem został, to zawdzięcza przedewszystkiem sobie samemu. Stoi on wprawdzie jeszcze na gruncie epoki Klopstoka; lecz kiedy Klopstok zostaje zawsze pod wpływem bezpośredniego uczucia i na skrzydłach wyobraźni buja w sferach nieskończoności, pełen uwielbienia dla Boga i dzieł jego, myśl Seumego zwraca się na nasz padół płaczu, do ludzi, którzy owe dary boże tak okropnie wypaczyli. Że zaś na tym padole we wszystkich stosunkach upatrywał jaskrawe przeciwieństwo do pragnień i życzeń swego czystego i szlachetnego zmysłu, przeto stara się je z tego punktu widzenia wyjaśnić i określić. Dręczyły go mianowicie ujemne strony, których dopatrywał w państwie, w kościele, na polu wychowania, w życiu prywatnem i publicznem, więc pragnął zburzyć co złe, a dobre odbudować. Skutkiem tego łączy się z przewodnikami tak zwanego okresu burzy i parcia (Sturm und Drangperiode).

W owym czasie nabierała coraz większego wpływu i znaczenia t. z. szkoła romantyczna. Romantycy niemieccy, nie rozumiejąc praktycznej strony życia, a walcząc jedynie frazesami, poczęli szerzyć szkodliwe lekceważenie dotychczasowych zdobyczy i w przeciwieństwie do rzeczywistych potrzeb życia zarażali młode umysły czułostkowością i marzycielstwem, któremu brak zawsze silniejszych podstaw. Seumemu nie mogły przypaść do smaku ich zboczenia. Pomiędzy „Apokryfami“ nazywa Nowalisa, przewodnika romantyków, największym mistykiem, uważa jednak misticyzm u ludzi wykształconych za słabość nerwów i dolegliwość żołądka. Podobny do romantyków z tego, że lubił namiętnie życie wędrowne i koczownicze, był zresztą ich jaskrawem przeciwieństwem. Kiedy bowiem romantycy, nie rozumiejąc ducha czasu i potrzeb ludu, zwracali tęskne spojrzenie ku wiekom średnim i dalekim ludom, mniemając, że znaleźli zaporę przeciw niewierze wolnomyślicieli w zabobonach i dziwach duchowo ubogiego czasu, myśl Seumego stale krążyła około wypadków społecznych, około smutnej teraźniejszości. Podczas gdy znamieniem romantyków jest ucieczka w sfery nadziemskie, negacya teraźniejszości, on wziął sobie za zadanie wskazywać, jaką jest teraźniejszość i jaką być powinna, a znamieniem jego — walka bezustanna z wszelkimi bezprawiami. W romantykach widzimy szermierzy przesądów arystokratycznych, którzy nadskakiwali zwycięzcy, trzymali się klamki potężnego, lub co gorsza, kłaniali się ich służalcom. Seume nie starał się nawet o urząd publiczny, aby nie stracić swobody zdania, potężnych cenił tylko wedle ich istotnych zalet, a z przywilejami i uciskiem możnych walczył całe życie. Poetyczne romantyków utwory po większej części bez znaczenia utonęły w falach niepamięci, bo pełne alegoryi, symboliki i mistyki, olśniewały tylko formą zewnętrzną, wygładzeniem, lekkością; u Seumego zachodzi wprost odwrotny stosunek, bo nie forma, ale treść przeważa. Pieśń jego to nie miękki ton melancholij-

*) *J. G. Seume.* Jego życie, dzieła i zasługi. Przyczynek do dziejów polskich pod koniec XVIII stulecia. Lwów, nakładem Milikowskiego, 1890.

ny romantyków, który pieścił tylko ucho, to pieśń surowa, która surowszym jeszcze poglądem na świat wnikała w najskrytsze tajniki bólów społecznych. Na strunach poezyi Seumego brzmi nuta bezgranicznej skargi i oburzenia a wyrazem ich jest jego cierpka i twarda liryka. W wierszu np. „Moje urodziny,“ pełnym bolesnego rozpamiętywania nad głupotą i przewrotnością, obłudą i nikczemnością świata, zapytuje, kiedy sprawiedliwość znowu wśród ludzi zapanuje, kiedy zniknie tyrania? W końcu prosi Boga, aby mu pozwolił mieć nadzieję, że znów kiedyś ludzie będą kroczyli drogą światła, aby mu dał siłę do wypowiadania swych słów czynami. Jeżeli nawet Schillera, przebywającego wyłącznie w krainie ideałów wypadki zmuszają do skargi i nie pozwalają pomyśleć o innym środku zaradczym, jak tylko o tem, by przed udręczeniem świata uciec w cichą głąb serca i krainę snów, to nie należy się dziwić skargom Seumego, który tej niedoli zblizka się przypatrywał, z nią się stykał, a tem różni od idealnego pieśniarza, że nie doradza ucieczki „w rajską krainę ułudy,“ ale wzywa do walki i ciągle nawołuje: „Znoś i wytrwaj.“ Lecz czy jego zgrzyt bezsilny osiągnął jaki praktyczny skutek? Krytycy i estetycy zarzucają mu właśnie z tego powodu nie bez słuszności pewną gorycz i nadmiar barw czarnych. Inni uważają go za dziwaka, zgryźliwego melancholika, twierdząc, że tylko na chwilę rozczulał się nad polakami, ale nie był z niczego zadowolony a przeto chwiejny, albo milczał, gdzie nie powinien był milczeć, albo poprostu drwił z nich i szydził. Tak jest: drwił i szydził z polaków, ale tylko z tych, którzy się splamili niegodziwością. Na pozór wydają się te potępienia i szamotania daremnemi i bezcelowemi, a cierpienia podobnemi do cierpień Laokona, świadomego swej niemocy i bezskuteczności walki; w istocie miały one wielką doniosłość, czego wkrótce dowiodły skutki. Sprowadzając bowiem umysły ustawicznie na ten padoł płaczu i nędzy, nauczył je Seume nienawidzieć ciemięztwa i nadużyć, odczuwać okropność położenia; zdzierając ze wszystkiego mglistą osłonę, szerzył zrozumienie rzetelne wzniosłych haseł i skarbami myśli przyczynił się wielce do rozpowszechnienia idei demokratycznych wśród niemców. Cierpiąc za miliony, cierpieniom ludzkości stara się nieść ulgę, choćby tem jedynie, że podnieca jej siłę odporną, a odsłaniając rany, nie aby szydzić, lecz aby leczyć, w sprawiedliwości najlepsze na nie upatruje lekarstwo. Budząc poczucie własnej godności, poczucie obowiązków, dumę narodową, przygotowywał ziomków do późniejszych zapasów z tyranią, może więc być uważany za poprzednika poetów i pisarzów w okresie walk o wolność i niepodległość narodu niemieckiego, z których wieńca wawrzynowego niejeden listek słusznie mu się należy. Twarde było życie Seumego, więc i pieśni jego musiały być twarde; ale wnet powstała i zabrzmiała z tych pieśni płaczu i żałoby, bezsilnego zgrzytu i miotania się, pieśń tryumfu, choć jej poeta nie mógł już usłyszeć, bo walką znużony, legł wcześnie w grobie.

Oprócz zasług jakie sobie zdobył Seume wobec własnej ojczyzny, nie może on być obojętnym dla nas i z tego względu, ponieważ spisał lub dotknął niektórych nader ważnych wypadków i osób Rzeczypospolitej... To zaś, co powiada o polakach i o Polsce, obala zupełnie zarzut niesumienności, który Seumego spotkał ze strony naszych historyków i polityków.

Z.

Z NIEMIEC.

12 października.

Dwie nowe estetyki niemieckie: Edwarda Hartmanna i Teodora Alta. — Powieść F. Kapf Essenther. — Realizm w dramacie niemieckim. — Hermana Bahra tragedya społeczna. — Freie Bühne.

Z niemałemi pretensyami wstępuje w świat najnowsze dzieło filozofa nieświadomości, Edwarda Hartmanna. Jest to druga część jego systemu estetyki, zawierająca „filozofię piękna,“ W rozdziałach traktujących o istocie i o istnieniu piękna wywodzi autor, że system jego stanowi organiczne zakończenie budowy, wzniesionej przez estetyków poprzednich *). Dzieło to, wchodzące w zakres filozofii i dla fachowych kół przeznaczone, nie zadowoli ich, gdyż to, co Hartmann uważa za „organiczne zakończenie,“ wyda im się kompilacyą nieźle zaokrągloną, a naszpikowaną nowymi terminami, mającymi stanowić „system oryginalny“; nie zadowoli artystów, gdyż autor, gardząc ową estetyką żywą, bezpośrednio powiązaną z twórczością artystyczną, jakiej początki widzimy u Goethego i Lessinga, filozofuje o pięknie w sposób nużący i płonny dla twórców. Nie zadowoli kół szerszych, gdyż zamiast ułatwiać im, utrudnia zoryentowanie się w dziedzinie filozofii piękna, wprowadzając nowe nazwy dla podziału sztuk; a ów Hartmanowski „Ohrenschein,“ „Augenschein“ i „Phantasieschein,“ owa jego „Lesepoesie,“ nie oznaczają bynajmniej nowego jakiegoś poglądu, pogłębionego na podstawie fizyologii lub psychologii, lecz są poprostu wynikiem potrzeby wzbudzenia pozoru, że się wypowiada coś nowego. Cenne są jedynie uwagi, spostrzeżenia tu i owdzie rozsiane; bądź co bądź Hartmann — to człowiek, który wiele widział i wiele myślał. Duch jego starczy na zrobienie szczegółowych spostrzeżeń, ale nie na wielki, płodny istotnie system.

Znacznie cenniejszą zarówno dla teoretyków sztuki, jak dla artystów i publiczności zajmującej się pięknem, jest praca Teodora Alta **), zawierająca próby usystematyzowania artystycznych funkcyj człowieka, a traktuje specyalnie kwestyę połączenia sztuk oraz zagadnienia stylu architektonicznego przyszłości. Alt, idąc drogą inną, aniżeli Hartmann, nie troszczy się o motki definicyjne Hegla i Vischera, natomiast opiera się na tem, co artyści pisali i mówili o swej twórczości. Dzieli on sztuki w sposób naturalny i trafny na naśladujące zjawiska przyrody i na takie, których utwory po za ramami wyobraźni ludzkiej wzoru nie mają. Semper sztuki te nazywał kosmicznemi. Prawem naśladujących jest realizm. Zasadą idealizmu jest wyprowadzanie zjawisk, których natura i ugrupowanie przewyższają doskonałością zjawiska przyrody Naśladowanie wierne i idealizowanie, to dwa kierunki sztuki obok siebie istnieć mogące. W jednym względzie Alt zbliża się do Hartmanna: obaj wywodzą „das Schöne“ (piękno) z pojęcia „Schein“ (pojaw). Piękno polega na zadowoleniu władz duszy, używanych do oglądania zjawiska pewnego, na zadowoleniu wywołanem wyłącznie przez oglądanie. Rozporządza Alt imponującym zasobem wiedzy estetycznej i archeologicznej; tembardziej zasługuje na uznanie widoczna jego dbałość o uniknięcie balastu uczonego i naukowej szematyzacyi, staranność, styl jasny i ugrupowanie przejrzyste. Obszernie zajmuje się złożonem dziełem sztuk (Gesammtkunstwerk) Wagnera. Aczkolwiek nie na wszystko zgodzić się można, co twierdzi o prawdopodobnym rozwoju sztuk, praca jego, bądź co bądź, pobudza do myślenia samodzielnego o ważnych dla artysty dzisiejszego zagadnieniach estetycznych. Jest to po Guyau'a „Problèmes de l'esthetique contemporaine“ najcenniejsze może dzieło w tej dziedzinie z lat ostatnich.

Wybitną postacią w beletrystyce niemieckiej jest od lat kilku F. Kapff-Essenther, powieściopisarka austryacka. Przed kilku laty sprawiła wrażenie książką p. t. „Nowożytni bohaterowie.“ Obecnie ogłasza powieść większych rozmiarów „Auf einsamer Höhe,“ drukowaną poprzednio w wiedeńskiej *Deutsche Zeitung*. Osnowa wielce romantyczna, oraz zagadkowe charaktery bohaterów uwydatniły całą sztukę psychologiczną uzdolnionej autorki. Hrabia vom Walde zamieszkuje z wnuczką swą Imeldą stary zamek styryjski. U progu lat dziewiczych poprzestawać musi ona na towarzystwie starego francuza, guwernantki, siostry miłosierdzia i wielkiego psa, który jest nieodstępnym jej towarzyszem. Sąsiedzi hrabiego, starzy i nudni, nie zajmują Imeldy; tylko z młodym Wiktorem von Felde spędza ona czasem godzin parę. Pierwszem zdarzeniem w życiu jej są odwiedziny młodego malarza Leopolda Hofmanna, który z teką swą zabłąkał się w parku hrabiego i przez parę dni używa jego gościnności. Imelda oprowadza go po lasach okolicznych, ciesząc się tem romantycznem spotkaniem; jeno że młody adept sztuki zbyt mało posiada warunków na bohatera romansu, wymarzonego przez Imeldę. Hofmann odjeżdża, a przybywa natomiast zapowiedziany od dawna przez dziadka kuzyn Odilo, jedyny spadkobierca imienia Waldów. Arystokrata w postaci i ruchach, obok spokojnego zaufania do sił własnych, okazuje skromność i dobroć serca. Oczarowuje on wszystkich, wyjąwszy Imeldę, która czuje się obrażoną, iż Odilo obchodzi się z nią jak z dzieckiem. Lecz kiedy on nie bez pewnego ciepła oznajmia jej rychły swój wyjazd, uczuwa Imelda ku niemu sympatyę i żal, iż ma odjechać, nie spowodowawszy żadnej w życiu jej zmiany. Jest to moment wybornie przez autorkę pogłębiany. Obawa Imeldy nie spełnia się, gdyż przed odjazdem stary hrabia ma długą rozmowę z Odilem, poczem ten oświadcza, iż dziadek przekonał go, że dobrem dla niej będzie, skoro ją poślubi; zapewnia ją o życzliwości swej i prosi o zaufanie.

Imelda ufa mu; niebawem zaślubiają się. Tu, gdzie zazwyczaj powieści się kończą, rozpoczyna się romans tych „bohaterów nowożytnych.“ Odilo w dzień wesela jedzie z żoną do willi pod Wiedniem. Wieczorem odprowadza ją do sypialni, u progu żegna, tłomacząc, iż małżeństwo ich na razie może być jedynie stosunkiem przyjacielskim, lecz że wszystko korzystnie się ułoży, skoro zaufanie jej nie osłabnie. Imelda przyrzeka mu. W nocy, nie mogąc usnąć, wychodzi do ogrodu i widzi Odila, opuszczającego ogród, dążącego do domku sąsiedniego. Przez okno otwarte spostrzega piękną kobietę o prześlicznych rudawych włosach, ściskającą jej męża... Niewinne dziecko zmienia się na kobietę zazdrosną: wpada do pokoju Odila, szukając listów, któreby wyjaśniły jego postępowanie. Znajduje tylko kartkę, zawierającą gorącą prośbę o odwiedziny ostatnie. To jej wystarcza: Odilo w oczach jej jest nikczemnikiem, który poślubił ją tylko dla majątku. Z zarzutem tym występuje podczas sceny gwałtownej, zamykając nim usta małżonkowi, który pragnął wytłomaczyć jej wzajemny ich stosunek. Gorączkowa choroba jest skutkiem gwałtownego wstrząśnienia moralnego; rekonwalescentkę stary hrabia vom Walde przenosi na zamek styryjski. Po kilku latach widzimy Imeldę w Wiedniu, goniącą za rozrywkami. Odilo dla niej nie istnieje. A jednak winna była czuć dlań raczej wdzięczność, aniżeli żal i wzgardę. Była nieprawem dzieckiem ojca swego, który nie pozostawił jej ani imienia swego, ani prawa dziedzictwa. Jedyną drogą dla zabezpieczenia jej z obu stron był związek ze spadkobiercą legalnym — Odilem. Ten, nie czując istotnej dla Imeldy miłości, zdecydował się jednak na krok żądany przez głowę rodziny. Zamierzał po ślubie starać się o miłość Imeldy, a skoroby

---

*) *Aesthetik*, Lipsk. Wilhelm Friedrich.

**) *System der Künste*, mit Rücksicht auf die Fragen mit Vereinigung verschiedener Künste und des Baustyls der Zukunft. Berlin, G. Grote.

uzyskać jej nie potrafił, zgodzić się na rozwód, umożliwiający jej poślubienie innego. W każdym razie nie chciał wpierw zostać małżonkiem, zanimby był kochankiem. Dawnej kochance swej nie mógł odmówić odwiedzin ostatnich; scena zaś, którą spowodowały, rozdzieliła młodych małżonków na długie lata. Daremnie szuka Imelda szczęścia i miłości; kiedy poznaje, że jedynym szczerze jej życzliwym był mąż jej, zapoznany i obrażony przez nią, że ją pojął za żonę jedynie dla ocalenia jej stanowiska i majątku, ucieka z pałacu swego, puszczając się w świat na oślep. Wówczas Odilo odszukuje ją, zwierza jej dzieje życia swego i nawiązuje z nią przyjaźń, która w obu sercach przemienia się na miłość coraz gorętszą. Wreszcie miłość ta zwycięża i następuje połączenie małżonków długo rozdzielonych. Połączenie to trwa tylko noc jedną, gdyż nad rankiem znajduje Odilo Imeldę nieżywą, ze sztyletem w piersi. Nie mogła żyć dalej bez niego i nie mogła obok niego, gdyż z rozdziału nie wyszła bez skazy.

Trudno pogodzić się z tą osnową, opartą na kaprysie dawnej kochanki Odila, żądającym odwiedzin jego właśnie w noc poślubną. Trudno też zrozumieć istotę i postępowanie człowieka, który występuje odrazu jako charakter zamknięty, skończony. Imelda natomiast, która w oczach czytelnika rozwija się od lat pierwszej swej młodości, należy do najlepszych postaci, stworzonych przez powieściopisarstwo niemieckie w latach ostatnich; kobiecie udał się ten portret kobiety o charekterystycznych zaletach i wadach, partej temperamentem, krwią i rasą. Jest w powieści tej dość figur drugorzędnych, trafnie i plastycznie scharakteryzowanych. Wybornie oddanym jest ów malarz Hofmann, który reprezentuje typ rozwielmożniony obecnie w artystycznym świecie wiedeńskim; jest to artysta-filister. Zowią go „Dämmerungs-Hofmann," gdyż maluje wiecznie krajobrazy w zmierzchu. Trzyma się zmierzchu, gdyż to popłaca. Na miłość boską — woła on — tylko nie genialnie! Żałuję każdego, któremu się to w żyłach gnieździ — we mnie nie, Bogu dzięki.

Krwawe zakończenie tej powieści razi wielu czytelników; atoli działa ono harmonijniej, aniżeli szczęśliwe pojednanie małżonków, jakie wymusiła na autorce redakcya *Deutsche Zeitung* dla swego fejletonu.

O ile na polu powieściopisarstwa realiści niemieccy stanowczo odnoszą tryumfy nad pisarzami dawnej szkoły, o tyle utrudnionym jest pochód realizmu na scenach niemieckich. Rzec można, że od czasu, kiedy społeczne dramaty Hebbla pojawiły się na scenie, żaden z poważniejszych realistycznych utworów dramatycznych nie umiał przełamać trudności czynionych przez dyrekcye. Widzieliśmy niejeden utwór takiego Lindaua *e tutti quanti*, w której pomysły drażliwe przybierały szatę realistyczną, skrojoną według wzorów francuskich, ale w tych dramatach rozwój sztuki poważnej raczej znajdował przeszkodę, aniżeli poparcie. Obecnie Ibsen zdobył sobie dla niektórych swych prac parę z większych scen niemieckich; należy się spodziewać, że dzielny norwegczyk odegra tu rolę pioniera. Bo że kierunek Ibsena nie jest odosobnionym, że w Niemczech obecnie żyje cały szereg autorów utalentowanych, którzy pragną wprowodzić prawdę na scenę, o tem wie każdy, co śledzi bieżącą literaturę książkową. Tylko dyrektorowie scen wiedzieć o tem nie chcą, a to ich zatykanie sobie oczu i uszu dla utworów oryginalnych z wielką połączone jest szkodą dla niemieckiej literatury dramatycznej. Bo jeżeli pisarz wogóle rozwija się głównie przez poznanie wad własnego utworu po puszczeniu go w świat, to najbardziej dramatyczny korzysta z wystawy na scenie. Uwagi te nasunęły nam się podczas czytania tragedyi Hermana Bahra „Die grosse Sünde." Któżby w tytule tym nie odgadł Ibsena? Tak, niezawodnie Bahr czytał go, chciał napisać coś podobnego, ale talent jego zasługuje na uwagę. „Wielki grzech" — to kłamstwo polityczne, obłuda w życiu publicznem. Bez wątpienia, że nigdzie tylo nie kłamią, ile w życiu publicznem i jeżeli autor w losie bohatera swego zilustrować chciał rozmiary i potęgę tego kłamstwa, to udało mu się to najzupełniej. Bohater ten, dr. Heyden, kterując się rzetelną, bezinteresowną chęcią poprawienia stosunków politycznych i społecznych, zrazu stoi na czele stronnictwa walczącego z przestarzałemi, zgubnemi urządzeniami państwowemi; następnie zaś, kiedy nie odstępuje od prawdomówności i rzetelności, traci przyjaźń i pomoc towarzyszów. Rozpacz, jaką go przejmuje poznanie tej obłudy i nikczemności powszechnej, doprowadza go do obłąkania; a przekonawszy się, że i żona okłamuje go, dusi ją. Podczas gdy Heyden za szczerość swą pokutuje w domu obłąkanych, dawni jego towarzysze, po zwycięzkiej kampanii politycznej, w klubie swym sprawiają orgię. Nagle, wśród kobiet napół nagich, nalewających szampana, pojawia się Heyden—obłąkaniec, porwawszy więzy swe i wyskoczywszy z celi. Scena ta, umieszczona przy końcu ostatniego aktu, jest oryginalną i efektowną, a przytem o głębszej symbolice. Niestety, jest to może jedyny szczęśliwy pomysł dramatyczny Bahra, pomysł, któryby na scenie wywołał efekt, nie przekraczając granic realizmu znośnego dla widzów przeciętnych. Zresztą zaś całość i szczegóły dramatu tego dowodzą, że Bahr ma talent dramatyczny, ale że nie umiał sobie jeszcze wyrobić zdania o tem, co w utworze scenicznym jest ważne, a co jest nużące lub rażące.

Niema tu rozwoju organicznego, ale jest bogactwo myśli, znajomość życia i ludzi i satyra głębsza. Herman Bahr znanym był dotychczas jako autor prac społeczno-politycznych. Ogłosił on poprzednio już dramat p. t. „Nowi ludzie" (Die neuen Menschen"); porównany z tą sztuką, świeży dramat okazuje postęp znaczny. Właśnie okoliczność, że autor rozwija się, każe żałować. że nie może on utworów swych wystawiać.

Jest to charakterystycznem dla niemców, że towarzystwo, które powstało w ostatnich czasach dla popierania realizmu na scenie, głównie ma na oku wystawianie utworów norwegskich, szwedzkich, francuskich i rosyjskich, w drugim rzędzie dopiero niemieckich. Stowarzyszenie to, o którem w jednym z następnych listów pomówimy obszerniej, zawiązało się pod nazwą „Freie Bühne," na wzór „Théâtre libre." Rozporządzając środkami dostatecznymi, urządza od czasu do czasu na jednej z głównych scen niemieckich przedstawienia przedpołudniowe, jednorazowe, ze współudziałem wybitnych artystów dramatycznych. Zdumiewającą jest okoliczność, że prowodyrowie realistów niemieckich—Konrad, Bleibtreu, Alberti, którym w krzykactwie mało kto dorówna, nie umieli tu zdobyć sobie wpływu przeważnego. Pierwsza sztuka niemiecka, którą wystawić ma „Freie Bühne," nie została wybraną z pomiędzy ich utworów; jest nią dramat społeczny mniej znanego autora, Gerharda Hauptmanna.

Ladawa.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Siedem encyklopedyj na rok przyszły. — Lekceważona potęga. — Dowcip i humor. — *Encyklopedya humoru.* — Dwa śmiałe grona kuszące się o wydanie *Encyklopedyi powszechnej.* — Podstawa i siły do takiego przedsięwzięcia. — Co je poprzedzić winno.— Siódma najskromniejsza. — Obchód trzydziestolecia w *Tygodniku ilustrowanym.*—Nowa data jubileuszu.— Biesiada odpustowa. — Sprostowanie w sprawie hr. D. przeciw pannie M. — Co sprostowano? — Kilka pytań potrzebnych do naśladowania dobrego przykładu.

Do trzech encyklopendyj już wychodzących (*Wychowawczej* i dwu *Rolniczych*) przybyła czwarta *Encyklopedya humoru*, a mają przybyć jeszcze dwie, jeżeli nie trzy; w przyszłym tedy roku możemy ich mieć siedem. Naprzód słów kilka o nowo-rodku, którego ojcem jest p. M. Wołowski. My nie byliśmy i nie jesteśmy narodem dowcipnym, w tej mierze, co francuzi, anglicy lub niemcy; przedstawicieli humoru posiadamy zaledwie paru. Ta odrośl piśmiennictwa nietylko jest u nas słabą, ale nawet lekceważoną. Dość przypomnieć wzgardliwe sądy wielu pism naszych o jednym z najznakomitszych wykwitów humoru nowoczesnego — *Pięknej Heleny.* Ogół nie wie lub zapomina, jakimi wawrzynami czoła swe ozdobili lub jaki wpływ wywarli Aristofanes, Cervantes, Rabelais, Dickens, Heine; kupuje on sobie co święto za kilka groszy numer *Kuryera świątecznego* lub *Muchy*, śmieje się z tego lub owego konceptu i często ani przypuszcza, ażeby dowcip należał do najpotężniejszych i najbezpieczniejszych broni w walkach umysłowych świata, ażeby nim wygrywano walne bitwy i rozbijano twierdze, które opierały się wszystkim innym orężom. Nie mogę tu powtarzać, ale radziłbym każdemu przeczytać, co o tej broni mówi znakomity jej szermierz, J. Paul w którejś ze swych satyr. Ludzie widzą i poznają prawdę przy świetle słońca wiedzy; ale nieraz tam, gdzie jego promienie zagasną, przyćmią się lub sięgnąć nie mogą, rozjaśnia ciemności błyskawica dowcipu, po której czasem spada piorun, druzgocący olbrzymie dęby. Niejeden system naukowy jest płytkim jak rów, podczas gdy niejeden aforyzm głębokim jak ocean. Udać rozum można, dowcipu — nigdy. Śród tych klejnotów niema fałszywych, bywają tylko kradzione. I dlatego ci, którzy ich nie posiadają, lekceważą je i odziewają się w nadmierną powagę, ażeby nią zasłonić swoje ubóstwo. Podobni oni są do obłudnych cyników, którzy nie mając czem okryć ciała, największym jego strojem nazywają nagość.

Zebrać w jeden skarbiec owe klejnoty jest przedsięwzięciem godnem trudu i pochwały. Wszystkie też literatury posiadają takie zbiory pod rozmaitemi postaciami. P. Wołowski postanowił wydać „Encyklopedyę *humoru.*" Co jest humor? Jest to pewien rodzaj oświetlenia osób i rzeczy. Czy takie obrazy można zawrzeć w formie encyklopedyi? Zdaje mi się, że nie. Jeżeli bowiem, zechcemy z nich wykrawać ułamki i cząstki, niepokaleczone i coś wyobrażające, powstanie antologia, ale nie encyklopedya, która wymaga zwięzłości i rzeczowego rozkładu swych przedmiotów. Tak np. targ chłopa z panem o łąkę w *Placówce* Prusa jest znakomitą sceną humorystyczną; chcąc ją przytoczyć, trzeba wyjąć całą; ale pod jakim wyrazem umieścić ją w encyklopedyi? Podobne pytanie nasunie nam się przy każdej innej, a unikając tego i wielu innych kłopotów, musimy — jak to zrobił p. Wołowski — encyklopedyę *humoru* zamieniać na encyklopedyę *dowcipu.* Różnicę, jaka zachodzi między tymi dwoma przejawami ducha ludzkiego, czytelnik odczuwa lub rozumie. Humor jest sztuką, dowcip—myślą; pierwszy tworzy, drugi — spostrzega; tamten bywa zawsze wesołym, ten—często poważnym. Jeżeli zaś oba za przykładem greków nazwiemy „solą attycką," wówczas dowcip będzie kryształkiem a humor roztworem tej soli. Co pierwszy wyraża w jednem krótkiem zdaniu, to drugi rozprowadza w całych obrazach lub postaciach artystycznych. Tak np. co Schopenhauer wy-

powiada w uwadze, że „bogactwo podobnem jest do wody morskiej, która nie gasi, lecz powiększa pragnienie," to Molière lub Flaubert wypowiadają w postaciach i dziejach swych skąpców.

P. Wołowski w wyborze materyału nie przeprowadził tej różnicy, zmieszał humor z dowcipem i zamierzywszy wydać „Encyklopedyę *humoru*," wydaje encyklopedyę wesołego dowcipu, przeplatanego urywkami humoru, który, według mnie, w dalszych zeszytach, nie bacząc na obowiązek względem tytułu, powinien się wycofać.

Jeszcze nie miałem dosyć czasu zmierzyć całej odwagi grona ludzi, którzy w czasach niebywałego zastoju na rynku księgarskim, chcą pokusić się o wydanie *Encyklopedyi powszechnej* większej, niż pierwotna Orgelbranda, gdy *Kuryer codzienny* doniósł, że także sama zuchwała myśl narodziła się w innem kole, dla którego on wyprocesowywa prawo pierwszeństwa. Pomijam tę pretensyę, dosyć humorystycznie uzasadnioną odwołaniem się do „wzmianek w prasie zagranicznej" o zamiarze wydawców warszawskich, posiadających dwa własne organy, nadmienię tylko, że którakolwiek z tych grup przystąpi do dzieła, powinna je oprzeć na tak wielkiej podstawie materyalnej i umysłowej, jakiej ono wymaga. Dziś już obszernej *Encyklopedyi powszechnej* nie można należycie opracować ani siłami kilkunastu ludzi, ani zasobem kilkunastu tysięcy rubli. Jest to przedsięwzięcie olbrzymie. Brockhaus i Mayer mają dla swoich *Lexikonów* urządzone wielogłowe biura i komitety, niby kolosalne fabryki umysłowe, w których pracują tysiące ludzi i setki tysięcy marek. Jeżeli ktoś na taką fabrykę i taki nakład zdobyć się może — niech spróbuje; tylko niech nie zakłada warsztatów dla tandety, bo tej w zakresie encyklopedyj wyrobiliśmy już za dużo i nieprędko sprzedamy tyle pieprzu, na ile ona tutek dostarczyć zdolna. Największa trudność spoczywa właśnie w tem, od czego zacząć bylibyśmy powinni — w braku opracowań materyału rodzimego. Artykuły, dotyczące przedmiotów obcych, można pełnemi garściami brać od Brockhausa, Meyera lub Larousse'a; ale co zrobić z polskimi? Jak wyglądała dawna gmina germańska — to nam ten lub ów niemiec powie; ale jaki ustrój przedstawiała polska—o tem dowiedzieć się bardzo trudno. To też gdybym był rozjemcą dwu stron, procesujących się o wydanie *Encyklopedyi powszechnej*, skazałbym jedną z nich na wydanie polskiej, i zdaje mi się, że ta zrobiłaby lepszy interes i zapewniłaby społeczeństwu lepszy nabytek. Jako bezstronny zaś świadek tych zapasów sądzę, że literatura, która nie posiada dość sił dla opracowania encyklopedyi swojskiej, nie może ich posiadać w należytej mierze dla przygotowania powszechnej. Może tylko tłomaczyć cudze i łatać je staremi dodatkami.

A gdzież siódma? — pytasz czytelniku, zliczywszy cały szereg. Tę my wydamy. Będzie ona jednak śród swych sióstr najskromniejszą, bo przeznaczoną dla—dzieci. Ale o niej — potem.

Jeżeli pewnym obchodom odejmiemy ich racyę zwyczajową, umowną, nie pozostanie z nich nic. Dlaczego panna Marya obchodzi uroczyście dzień 2 lutego, a nie inny, także poświęcony Maryi, zwłaszcza że ani nie urodziła się, ani nie chrzczono jej w tym dniu i miesiącu; dlaczego wyprawiamy komuś ucztę po 25 a nie 20 lub 30 latach pracy — inaczej objaśnić nie można, tylko logiką zwyczaju. Wprawdzie aktorzy pomnażają sobie czasem jubileusze w zakresie systemu dziesiętnego, ale nawet śród nich takie dowolności bywają dość rzadkie. W żadnym zaś razie nie przystoją one surowym kapłanom tradycyi. To też niezmiernie zdziwiłem się, że żarliwy jej stróż i obrońca, *Tygodnik ilustrowany* wyznaczył sobie święto na dzień 12 października, w którym skończył lat 30, bo zaledwie przed pięciu laty czciliśmy jego 25-lecie, przy którem wysłuchał naszych grzeczności i powinszowań. Co pięć lat jubileusz stanowczo za wiele, nawet dla tak sympatycznego pisma, jak *Tygodnik ilustrowany*. Co ci to szkodzi? — pyta mnie duch bibek, zbiorowych obiadów i pamiątkowych numerów. Zapewne, nie to mnie osobiście nie szkodzi, gdyż mogę nie wznosić w *Prawdzie* toastu, ale zdaje mi się, że tego rodzaju uroczystości niepotrzebnie i niesłusznie wyrabiają w społeczeństwie przekonanie o jakiejś szczególnej ważności, zasługach i posłannictwie pewnych bohaterów papierowych. *Tygodnik ilustrowany* był zawsze pismem czystem, ciepłem, rozważnem, o pielęgnowanie pierwiastków swojskich dbałem, ale żadnej tak wielkiej roli ani w naszem życiu, ani w naszej prasie nie odegrał, ażebyśmy co lat parę mieli go podnosić w górę i krzyczeć: niech żyje! Nie myślę mu ubliżać, i jak przed dwudziestu laty zasłonięty pseudonymem wsunąłem się skromnie po raz pierwszy do literatury przez jego kolumny ze szczerym dla sceny mojego debiutu szacunkiem, tak i dziś czuję dla tego przybytku serdeczną sympatyę. Pomimo to wszakże nie sądzę, ażeby *Tygodnik* był jakąś cudowną świątynią, przed którą ciągle mamy pochylać głowy i której kler powinien zwoływać nas na częste nabożeństwa. Dzwonek, który tym razem się odezwał, zgromadził wiernych raczej na odpustową biesiadę, niż na modły.

Jakkolwiek sprostowanie „w imię prawdy," ogłoszone przez *Kuryer codzienny* w procesie hr. Dąmbskiego przeciw p. Makowskiej, sprawiło radość a nawet rodzaj tryumfu *Gazecie polskiej*, musimy wyznać, że jest ono co najmniej wysoce zabawnem. Na podstawie dokumentów, których zbadanie wymagało aż trzech tygodni czasu, *Kuryer* twierdzi, że „w oświetleniu czystej prawdy" rzecz się tak przedstawia. P. Humnicki ojciec, zawiadomiony, że jego syn chce poślubić pannę służącą, przyjeżdża i zapytuje jej chlebodawców o opinię. „To, co usłyszał, *utwierdziło* go w przekonaniu o smutnych, moralnych skutkach takiego związku." Jednocześnie dowiaduje się, że panna M. jest oskarżoną o kradzież. Więc żąda wyjaśnienia rzeczy procesem, sam ustanawia dla podsądnej adwokata i stara się ją uwolnić z aresztu. Ostatecznie sąd ogłasza jej niewinność. Jeżeli *Kuryer* chce, ażeby go „inne pisma naśladowały," niech nas objaśni, co on właściwie „sprostował?" Czy niedokładność swojego sprawozdania, czy też samą osnowę procesu? Jeżeli tę ostatnią, w takim razie: Czy nieprawdą jest, że serweta znaleziona u p. Makowskiej należała do niej? Czy nieprawdą jest, że hr. D. nazwał się przed panną M. „podłym," zapewnił ją, iż „do oskarżenia jej *zmusiły go obowiązki przyjaźni*" i obiecał cofnąć skargę, jeżeli oskarżona wyrzecze się Humnickiego (syna)? Czy nieprawdą jest, że sądowi przedstawiono list hr. D. do Humnickiego (ojca), żądający zwrotu kosztów za *jego* sprawę? Czy nieprawdą jest, że panna M. — jak twierdził prokurator — stała się ofiarą niecnej intrygi? Wreszcie, jeżeli „postępowanie p. H. (ojca) było od początku do końca bezstronne, konsekwentne i pełne godności," czemu on tych „dokumentów," które złożył *Kuryerowi*, nie okazał sądowi?

Prosimy o jasną i wyraźną, bez półsłówek i dyplomatyzacyi odpowiedź na te pytania, a wtedy ogłosimy — albo: *Kuryer codzienny* zamieścił fałszywe sprawozdanie z procesu a więc i nasze oparte na niem wnioski nie mają żadnej podstawy — albo: *Kuryer*, ustanowiwszy się jako sąd i zbadawszy przedstawione mu „dokumenty," zawyrokował, że panna M. wzięła cudzą serwetę, że hr. D. nie powiedział w cyrkule przypisywanych mu słów, że nie osnuto żadnej intrygi itd. itd. Szczerze pragniemy „naśladować" dobry przykład i stanąć w obronie honoru ludzi zniesławionych, ale chcemy wiedzieć ściśle, co mamy „sprostować" i z kogo zdjąć winę. Nie możemy zaś w żaden sposób naśladować frazesów, które wyślizgują się z ręki jak piskorze i nie rozjaśniają rzeczy szczerze, całkowicie.

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Departament poczt i telegrafów, chcąc zapewnić publiczności możliwie regularne doręczanie listów, zalecił urzędnikom pocztowym sprawdzać od czasu do czasu, o ile listonosze spełniają sumiennie swoje obowiązki.

Rewizya odbywa się obecnie na ruskich kolejach żelaznych, pod kierunkiem starszego inspektora kolejowego, p. Wendrycha. Ma ona na celu zbadanie, czy podróżni 3-ej klasy mają odpowiednie wygody.

Dla włościan. Z powodu strasznego nieurodzaju namiestnictwo galicyjskie poczyniło kroki dla ratowania ludności przez zapewnienie włościanom zarobku i zasiewów. Rząd udzielił w tym celu 300,000 złr. zapomogi bezzwrotnej i 600,000 złr. pożyczki bezprocentowej. Nadto sejm otworzy odpowiedni kredyt.

Dr. Józef Kallenbach, docent literatury polskiej na uniwersytecie krakowskim, otrzymał nominacyę na profesora języka i literatury polskiej w zakładanym obecnie uniwersytecie katolickim we Fryburgu szwajcarskim.

Kary dla małoletnich. Według najnowszych przepisów, małoletni 10—12 lat, zamiast robót ciężkich, osiedlenia, domu poprawy i zamknięcia w więzieniu, będą podlegali karze oddania do instytucyj poprawczo-wychowawczych; w razie zaś jeżeli oskarżony przed uprawomocnieniem się wyroku ukończy lat 18, wówczas osadzony będzie w więzieniu ze skróceniem poprzedniej kary do połowy, przy zastąpieniu zaś kary osiedlenia — na lat 8. Małoletni od 10—14 lat, zamiast kary śmierci albo robót ciężkich bez terminu, podlegać będą karze więzienia 5—10 lat, a zamiast ciężkich robót—karze osadzenia w więzieniu ze skróceniem terminu do połowy. Małoletni 10—17 lat, zamiast aresztu albo kary pieniężnej, podlegać będą karze napomnienia publicznego. Jeżeli zaś sąd uzna, że wykroczenia małoletnich zdradzają pewne nałogi w tym kierunku, wówczas może ich skazać na zamknięcie w instytucyi poprawczo-wychowawczej. Małoletni 10—17 lat nie podlegają pozbawieniu praw, ani oddaniu pod dozór policyjny. W więzieniu powinni być umieszczani oddzielnie od dorosłych.

Grzeczność z urzędu. Urzędnikom komór i biur paszportowych na granicy francuskiej rząd niemiecki nakazał, aby bez ujmy dla surowego przestrzegania przepisów, zachowywali wobec podróżnych „gładkie maniery i nie używali grubych wyrażeń."

Spis ludności w całem państwie ruskiem odbędzie się w roku przyszłym w ciągu 3 dni.

Zjazdy. W Krakowie odbędzie się w tych dniach pierwszy zjazd chirurgów polskich.

— Zjazd kółek rolniczych zakończył się w Krakowie 11 b. m.

Fabryki. Tow. belgijskie otwiera w Łodzi fabrykę wstążek, tasiemek itp.

— Otworzono wielką fabrykę trykotaży, zbudowaną na pradze.

— Niedawno w Bzinie puszczono w ruch emaliarnię naczyń kuchennych, zatrudniającą 70 ludzi.

— W Wąchocku powstaje fabryka przyborów młynarskich.

Prasa. Nowe pismo zaczęło wychodzić w Moskwie p. t. *Woprosy filosofii i psychologii*.

Podatek. Na fabrykantów, używających do pracy małoletnich, nałożony będzie podatek na utrzymanie specyalnych szkół elementarnych dla dzieci.

Szkoły. Posady nauczycieli w szkołach miejskich, zakładanych na mocy ustawy z r. 1872, na przyszłość udzielane będą osobom, kończącym instytuty nauczycielskie.

— Władze oświecenia publicznego, zgodnie ze zdaniem departamentu ekonomii państwowej z d. 14 marca 1868 r., rozstrzygnęły ważną dla gromad miejskich i gminnych w Królestwie Polskiem sprawę zapomóg na budowę i naprawę domów szkolnych. Do-

tąd zapomogi powyższe wyznaczane były z funduszów ministeryum oświaty. Ze względu, że każdy budżet obowiązuje tylko rok jeden, wyznaczane zasiłki krótkoterminowe nie mogły być zużytkowane stosownie do przeznaczenia i ulegały umorzeniu. Obecnie wyjaśniono, że przyznane na naprawę i budowę domów szkolnych zapomogi, w razie niewyczerpania funduszu w ciągu roku pierwszego, mogą być przenoszone do budżetu na rok następny. W tym celu naczelnicy dyrekcyj naukowych otrzymali polecenie zawiadamiania władzy zwierzchniczej przed upływem roku finansowego o potrzebie powtórnego zamieszczenia w preliminarzu budżetowym niewyczerpanego funduszu na potrzeby szkół elementarnych w rubryce wierzycieli skarbu.

— Liczba słuchaczów w Akademii rolniczej w Nowej Aleksandryi wynosi 280; z tych 73% ruskich, 27% polaków.

— Specyalna komisya lwowskiej rady miejskiej uchwaliła zaciągnąć pożyczkę w kwocie 800,000 złr. na budowę szkół ludowych.

— W rozwinięciu § 13 ustawy szkół realnych z r. 1888, zatwierdzono plany nauk i program porównawczy przedmiotów wykładanych. W wyższych klasach nauka języków nowożytnych: niemieckiego i francuskiego, oraz zamiast tego ostatniego (przy uwzględnieniu warunków danej miejscowości) — angielskiego, włoskiego i nowogreckiego, obejmować winna kurs korespondencyi handlowej, przyczem zwracaną będzie uwaga na charakter i kształt pisma. Z przedmiotów specyalnych na wydziale handlowym wykładana jest rachunkowość handlowa w następującym zakresie: metrologia, arbitraż, obliczanie procentu należności za towary i rachunek wekslowy — ażiotaż, tudzież prowadzenie ksiąg handlowych, ekonomia, geografia i statystyka handlowa. Wykład przedmiotów ogólnych pozostaje prawie bez zmiany.

— W Petersburgu 9 b. m. wobec ministra oświaty i wielu dostojnych osób odbyło się otwarcie wyższych kursów żeńskich. Napływ podań o przyjęcie do zakladu jest znaczny. Przyjęto 144 słuchaczek.

— Instytut głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie żąda od władzy podwyższenia płacy od przychodzących pensyonarzy z 15 na 30 rs. rocznie, z powodu, iż dochody z tego źródła są niedostateczne w stosunku do wydatków.

— W ministeryum oświaty podniesiono projekt zaprowadzenia jeszcze w b. r. szkolnym lekcyj gimnastyki w gimnazyach żeńskich i pensyonatach prywatnych.

Przytułek dla rekonwalescentów, powstający przy szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie, dostępny będzie nietylko dla chorych wypisanych z tegoż szpitalu, lecz także z innych. Biedniejsi przy opuszczeniu przytułku, w którym mogą przebywać najdłużej dni 6, otrzymywać będą drobne zapomogi pieniężne.

Elewatory rozpoczną działania na kolejach poludniowo-zachodnich z wiosną r. p., według doniesień dzienników petersburskich.

Łaźnie. Powstał projekt obowiązkowego urządzenia łaźni bezpłatnych we wszystkich fabrykach i większych zakładach przemysłowych. Jednocześnie jest projekt urządzenia na koszt m. Warszawy, łaźni przy stacyi filtrów.

Bibliografia. M. Simon, *Świat snów*, tłom. J. Potocki, Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 263.

— *Wisły* zeszyt październikowy.

— *Kalendarz Ungra* na r. 1890.

Zmarli. Jan Tschudi, znany przyrodnik i podróżnik niemiecki. W Brazylii przez lat kilka był posłem szwajcarskim.

— Leidesdorf, prof., w Wiedniu, znany psychiatra.

— Mieczkowski, fotograf w Warszawie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

T-or. Warunki nabycia będą wkrótce ogłoszone.

Pani Komarnickiej. Ponieważ koperta pani gdzieś nam zaginęła, prosimy o łaskawe nadesłanie adresu, gdyż go w liście niema, dla odpowiedzi w przedmiocie uprawy tytoniu.

Panu J. L. L. Powiastka Kiellanda „Nastrój balowy" była już przed kilku laty w przekładzie polskim drukowaną.

Dr. Sz. W. we Lw. Jest to zaledwie szkic do utworu, którego myśl nie rysuje się jasno.

Panu Zygm. Karp. Prosimy o widzenie się osobiste.

Panu J. W. z Nowolipek. Nawet z bezinteresownego przekładu książki korzystać byśmy nie mogli, więc żadnej Panu nie wskazujemy. Ażeby zaś praca nie była zmarnowaną, trzeba naprzód postarać się o nakładcę.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy PRAWDY otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Октября 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski